

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji
1 Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Dr M. KLEINBAUM — Hasło to jeszcze nie program
LEOPOLD HALPERN — System podważony od wewnątrz
Inż. A. GLIZER — Pierwsze kroki na morzu
OUTSIDER — Prawą marsz!
J. BRAUNTHAL — Londyńska City a Trzecia Rzesza
Ch. N. BIALIK — Drogi teatru hebrajskiego
Dr I. SCHIPER — Habima
H. ROSENKRANZ — Przyjaciół czy nieprzyjaciół
J. R. — Weizmann — mąż stanu
MATEUSZ MIESES — Historia synagogi lwowskiej
Wydarzenia i odgłosy — Antena świata — Rozrywki umysłowe
STER MŁODYCH.

27 lutego 1938

W A R S Z A W A

26 adar 5698

Dr. M. KLEINBAUM

HASŁO TO JESZCZE NIE PROGRAM

Mowa nowego Szefa O. Z. N., gen. Stanisława Skwarczyńskiego, aczkolwiek oparta na deklaracji płk. Koca, stanowi jednak w wielu punktach znaczne odchylenie od pierwotnej intencji owej deklaracji. O ile deklaracja lutowa obliczona była na pozyskanie mas „oboju narodowego“, o tyle mowa wygłoszona w pierwszej jej rocznicę wytknęła wyraźną linię podziału między O.Z.N. a różnymi odmianami endecji, zmierzającą raczej do scementowania i ponownego scalenia poróżnionych i poważniejszych grup pilsudczyków rozmaitych odcieni, a w sposób taktowny zresztą kokietowała swym programem społeczno-gospodarczym i kulturalnym jedynie Stronictwo Ludowe.

Pod wszystkimi innymi względami mowa gen. Skwarczyńskiego niewiele odbiega od deklaracji płk. Koca: odnośnie życia robotniczego nadal zaleca ideę solidaryzmu socjalnego, umacniając tym samym płoty i mury dzielące O. Z. N. od P. P. S.; nadal pomija milczeniem całokształt zagadnień ustrojowych Państwa, szczególnie zaś sprawę dopuszczenia społeczeństwa do głosu przez zmianę ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych, — i w ten sposób umacnia całą polską lewicę w jej stosunku opozycyjnym do O. Z. N.; nadal wyznacza mniejszościom narodowym rolę przedmiotu polityki, a nie jej podmiotu, wobec czego stosunek mniejszości do O. Z. N. pozostanie niezmienny — negatywny. Poza procesem „konsolidacji“ niechybnie więc pozostać muszą: obóz narodowy, obóz robotniczy i demokratyczny, oraz mniejszości narodowe. Stanowisko Stronictwa Ludowego wyjaśni w tych dniach Kongres — wyjaśni, czy rachuby niektórych mediatorów znów nie okazały się zawodne.

Ale głównym tematem naszych dzisiejszych rozważań nie jest ogólna ocena mowy programowej Szefa O.Z.N., lecz jednego jej ustępu, tego mianowicie, który poświęcony jest sprawie żydowskiej.

Zacznijmy od momentu pozytywnego: w sprawie terronu przeciwżydowskiego gen. Skwarczyński zajmuje stanowisko bez porównania hardziej odważne i stanowcze, niż jego poprzednik. Podczas gdy płk. Koc mówił zaledwie o „niemożności aprobowania aktów samowoli“, to gen. Skwarczyński wprost deklaruje „przeciwstawianie się akcji terrorystycznej“. Pamiętamy, że płk. Koc nie wyciągnął konsekwencji dyscyplinarno-organizacyjnych w stosunku do Związku Młodej Polski po jego udziale w „brutalnych odruchach antyżydowskich“, którymi p. Rutkowski chętnie się nawet w komunikatach prasowych. Formuła nowego Szefa O.Z.N. oznacza w tej dziedzinie postęp — miejmy nadzieję, że nowej formule odpowiadać będzie nowa rzeczywistość.

Ale tolerowanie czy zwalczanie terronu nie wiele ma wspólnego z istotą zagadnienia polsko-żydowskiego i z jego rozwiązaniem. O istocie zagadnienia gen. Skwarczyński rzucił kilka zdań, z którymi społeczeństwo żydowskie nigdy się nie zgodzi, które musi a limine odrzucić. Dotyczy to przede wszystkim tezy podstawowej, samego założenia, jakoby „mniejszość żydowska przez swoją specyficzną strukturę ludnościową stała na przeszkodzie normalnej ewolucji mas Narodu Polskiego“. Stanowczo zaprzeczamy: TAK NIE JEST! Niech tylko O. Z. N. zacznie naprawdę realizować zapowiedziane przez p. Generała roboty publiczne i reformy rolne, a rychło się przekonają, że żydzi nie przeszkadzają rozwojowi mas Narodu Polskiego. Póki tych robót publicznych nie widać, póki

reformy rolnej wieś nie odczuwa dostatecznie, póty wygodnie jest zważyć winę na „mniejszość żydowską“. Niech-no się ruszą roboty publiczne, niech-no się ruszy reforma rolna — wtedy „konik żydowski“ w polityce stanie się zbędny i żydzi od razu przestaną zaważać. Sęk w tym, że o tych reformach publicznych i o tej reformie rolnej już lata całe się mówi, i poprzestaje się na słowach...

Zresztą mniejszości narodowe samym swym istnieniem stanowią „przeszkodę“ dla narodu polskiego, bo uniemożliwiają mu zajęcie pozycji monopolistycznej w kraju, — to też stale powtarzamy, że w utożsamianiu Państwa Polskiego z Narodem Polskim tkwi duże niebezpieczeństwo. Wzrost liczebny mniejszości narodowych w ogóle i żydów w szczególności (Kresy Wschodnie) szedł w parze z rozszerzeniem granic Polski. Z tą korelacją musi się liczyć polska racja stanu. Racjonalna polityka państwowa winna mieć na oku rozwój nie tylko „mas narodu polskiego“, ale mas obywateli Państwa, w tej liczbie również mas żydowskich. Tak opiewa też artykuł pierwszy Konstytucji, który p. Generał był łaskaw przytoczyć. Jeśli „specyficzna struktura“ społeczno-gospodarcza ludności żydowskiej jest wadliwa, rzeczą Państwa jest dbać o jej uzdrowienie w ramach ogólnego programu rozwoju gospodarczego kraju. Oto jest logiczna, elementarna konsekwencja pierwszego artykułu Konstytucji. Założenie, z którego wyszedł gen. Skwarczyński, nie zostało uzgodnione z tym postulatem konstytucyjnym, a to wystarczy, by je zakwestionować.

Jasne jest, że skoro się odrzuca założenie, to się tym samym odrzuca także wszystkie wnioski, z założenia tego wysnute. Ale na pierwszy wniosek z założenia p. Generała musimy zwrócić szczególną uwagę: „Fakt ten musi wywoływać uczucia nieprzyjazne między ludnością polską a mniejszością żydowską“. Dalecy jesteśmy od przypisywania Szefowi O.

Z. N. intencji subiektywnego usprawiedliwienia „uczuć nieprzyjaznych“, ale przytoczone zdanie stanowi bezspornie wy tłumaczenie, jakoby antysemityzm w Polsce był obiektywną koniecznością („musi wywoływać uczucia nieprzyjazne“). I tu także musimy stanowczo zaprzeczyć: TAK NIE JEST!

Gdyby ktoś jednak zgodził się na założenie i na punkt widzenia gen. Skwarczyńskiego w sprawie żydowskiej, to też będzie musiał z zalem stwierdzić, że Szef O.Z.N. rzucił jedynie hasło (masowej emigracji żydów), ale konkretnego programu nie rozwinął. Bo oto wypowiedział następujące zdanie: „Plan ten (emigracji) musi uwzględnić interesy Państwa i być całkowicie realny“. Wtajemniczeni twierdzą, że „uwzględnić interesy Państwa, znaczy to samo, co nie pozwolić emigrantom na wywóz kapitałów; czy taki plan emigracyjny może być jednocześnie uważany za realny, jakby sobie tego życzył Szef O. Z. N.“

Generał Skwarczyński rzucił hasło „radykalnego zmniejszenia liczby żydów w Polsce“. Optymiści wśród emigracjonistów obliczają roczną emigrację żydów z Polski przy najbardziej sprzyjających warunkach na 100 tysięcy. Żeby zmniejszyć liczbę żydów w Polsce o jeden milion potrzeba zatem przy masowej emigracji okresu 10 (dziesięciu!) lat. Dziś jeszcze warunków dla takiej emigracji nie ma; założmy jednak dla uproszczenia wywodu, że dziś o północy warunki te jak manna spadną z nieba, — to wciąż pozostaje bez odpowiedzi pytanie: A co w międzyczasie ma się dziać z żydami w Polsce? Czy mają być zewsząd wypierani i przesładowani, by rozwijali się wśród nich dla Państwa szkodliwe, rozkładowe i wywrotowe tendencje? Czy też mają być dopuszczani do pełnienia obowiązków obywatelskich, do dzieła obrony Polski i podciągania Jej wzwyż, do wysiłku pracy nad szybkim rozwojem cywilizacyjnym kraju, a więc także do równych uprawnień

i do równej odpowiedzialności za losy Państwa? Przecież „w międzyczasie“ miliony żydów będą żyć, pracować i działać w miastach i miasteczkach Rzeczypospolitej — czy da się ich wyeliminować z procesu przebudowy gospodarczo-społecznej i kulturalnej Państwa, z procesu stanowienia programu gen. Skwarczyńskiego? Czy w interesie obrony Polski leży, aby „w międzyczasie“, aż do szczęśliwej chwili wsadzenia ich w Gdyni na okręt, żydzi stanowiący tak pokaźny odsetek wśród ludności miejskiej i w zawodach miejskich, już teraz zostali wyłączeni z całokształtu życia państwowego i obywatelskiego, jako przeszkoda, zawada i zaporę, powstrzymującą „ewolucję mas Narodu Polskiego“? — Na pytanie to odpowiedź nie można wyczytać z mowy Szefa O.Z.N., który każde swe słowo ważył i mierzył.

Z łaski na uciechę poczyniliśmy „ustępstwo“ dla uproszczenia rozumowania i założyliśmy, że w okresie 1938—1948 wyemigruje z Polski milion żydów. Chwilowo na to się nie zanosi. Nawet powstanie Państwa żydowskiego w Palestynie w pierwszych latach nie pochłonie takich mas emigrantów z samej tylko Polski. Ale upraszczamy dalej rozumowanie i zakładamy dalej: milion w ciągu jednego dziesięciolecia. Dziś liczba żydów w Polsce wynosiła 3,5 miliona minus 1 milion emigrantów plus 0,5 miliona przyrostu naturalnego równa się 3 milionom żydów po 10 latach masowej emigracji! Co będzie z tą „resztą“, bo jakaś reszta zawsze przecież zostanie (toć i p. Generał mówi o „radykalnym zmniejszeniu liczby żydów“, a nie o ich doszczetnej ewakuacji)? Co z tą wieczną resztą będzie? Szef O.Z.N. z góry zapowiada: asymilacja — nie! Bardzo się cieszymy, że asymilacja — nie... Ale co jednak z nimi będzie? Chyba nie czeka ich ucisk i eksterminacja, bo nie po to ich się zostawi, żeby było kogo gnębić. Nawet po wielkim ruchu emigracyjnym pozostanie niezasymlowana mniej-

szość narodowa żydowska w Polsce — trzeba będzie jej strukturę społeczną uzdrowić, żeby nie „stała na przeszkodzie ewolucji mas Narodu Polskiego“, i żeby „fakt ten nie wywoływał uczuć nieprzyjaznych między ludnością polską a mniejszością żydowską“, trzeba będzie tym pozostałym żydom dać zdrową strukturę gospodarczą, warunki narodowego rozwoju kulturalnego (żeby się nie zasymilowali) i w ogóle równouprawnienie! Tak logika dyktuje. I jeszcze coś dyktuje logika: już od dziś trzeba zacząć stosować ten system serdecznej opieki nad mniejszością żydowską, która pozostanie po emigracji, by ją zawczasu uzdrowić i upaństwowić, a że chwilowo jeszcze nie wiadomo, kto wprawdzie powie, więc „tymczasem“ z dobrodziejstwa równouprawnionych obywateli będą korzystali wszyscy żydzi... Chociaż nie! — to się już za bardzo kłóci z pierwotnym założeniem...

Bynajmniej nie mieliśmy zamiaru żartować, choć w żydowskim zwyczaju już leży z własnej niedoli humor wykrzesać. Chcieliśmy tylko obrazowo, pogładowo wykażać dwie rzeczy: po pierwsze — emigracja nie może być jedynym środkiem do rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce; po wtóre — hasło emigracji nie jest jeszcze programem, bo hasło może się składać z samych tylko słów popularnych, ale program zawierać musi realne, do końca prze-myślane wnioski odnośnie każdego detalu danego zagadnienia. Szef O. Z. N. rzucił hasło emigracji, ale nie dał programu rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce.

Skoro się mówi o emigracji, trzeba konkretnie od razu wymienić kraj imigracyjny; element ludzki do warunków tego kraju przystosowany, jego kwalifikacje zawodowe itd.; źródło kapitałów kolonizacyjnych; pojemność ludnościową kraju imigracyjnego i preliminowaną liczbę roczną emigracji. W końcu lutego 1938 roku nikt o emigracji żydów z Polski konkretnie mówić nie jest w stanie, — a p. Generał nie jest wyjątkiem. Zresztą emigracja może (a naszym zdaniem, nawet powinna) stanowić jeden z punktów, ale nie jedyny, programu w kwestii żydowskiej obok produktywizacji, przewarstwienia i gospodarczego uzdrowienia mas żydowskich w Polsce; cały zaś ten program oparty być może jedynie na założeniu, że Polska to także owa mniejszość żydowska, która stanowić winna dla Państwa przedmiot troski i opieki, która gotowa jest Państwu służyć i wydatnie może jeszcze Polsce się przysłużyć, jeśli tylko zarzuci się legendę o „wrogu wewnętrznym“ i o rzekomej przeszkodzie na drodze rozwoju Narodu Polskiego. Samo hasło emigracji żydów bez realnego programu jego urzeczywistnienia, przyczynić się musi jedynie do zaoagnienia „uczuć nieprzyjaznych“ między odłamami ludności Rzeczypospolitej. Natomiast w warunkach równości obywatelskiej niewymuszona, naturalna i roztropnie prowadzona emigracja (szczególnie związana z ideałem narodowym i społecznym) niezawodnie się okaże pozytywnym zjawiskiem w naszym życiu zbiorowym. Ale emigracja jako „jedyny i radykalny“ rozwiązanie to może popularne hasło dla ulicy, żaden zaś program.

Jak to słusznie powiedział jeden z „ozonowych“ nawet posłów w tym dzisiejszym nawet Sejmie: „POLSKA TO NIE SAMI TYLKO POLACY. — A POLACY NIE TYLKO SAM OZON“. Szkoda, że to właśnie zdanie nie stało się myślą przewodnią programowej mowy Szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego.

LEOPOLD HALPERN

System podważony od wewnątrz

To był sądny dzień dla systemu — ten wtorek 15. lutego 1938 r. Sądny dzień tym poważniejszy i bardziej bolesny, że przy stole sędziowskim i u pulpitu prokuratora zasiadali tym razem wcale nie przeciwnicy „sanacji“, wcale nie opozycjoniści z lewa, z centrum czy z prawa — ale własni ludzie, wczoraj jeszcze zaprzysiężeni zwolennicy systemu, onegdaj jego entuzjaści. Albowiem ów sąd nad reżymem odbył się nie gdzie indziej, jak właśnie w przebudowanej sali sejmowej; albowiem prokuratorami i sędziami (obrońca nie znalazł się ani jeden!) byli właśnie obecni posłowie, wybrani na zasadzie ordynacji wyborczej z 1935 r., a więc w stu procentach zwolennicy systemu lub tacy, co się doń dostosowali. Tym większą zatem wagą wyroku takiego sądu — sądu nad samym sobą.

Trzy są fundamenty rządzącego systemu: sejm, rząd i „Ozon“. Wszystkie trzy zostały zaatakowane i skrytykowane w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, która odbyła się na plenum sejmiku owego wtorku 15. lutego. Jest bardzo dużo wymowy i niezwykłości, gdy w stu procentach prorządowy parlament krytykuje rząd, gdy w sejmie, w którym jest absolutna większość ozonowa rozlegają się zdecydowane głosy przeciw „Ozonowi“ — coż więc dopiero po-

wiedzieć o nielitościwej krytyce Sejmu, która rozległa się tak donośnie w samym Sejmie; jak określić potępienie ordynacji wyborczej przez posłów, którzy dzięki niej znaleźli się w gmachu przy ulicy Wiejskiej? Sensacja? Polityczna pikantaria? Parlamentarny paradoks? Nie, w tym jest coś dużo więcej do myślenia dającego — tak przecież wygląda system podważony od wewnątrz.

Jednym z filarów i najwierniejszym symbolem tego systemu jest obecny Sejm — przysłuchajmy się więc pilnie jego samokrytyce. Wyraziła się ona nie tylko w samej debacie, ale nawet w jej tle zewnętrznym. Twórcy tego apartyjnego (albo raczej monopartyjnego) Sejmu spodziewali się, że będzie on też apolityczny, że zainteresowania jego skierują się w stronę zagadnień praktycznych, gospodarczych. Jakże się przeliczyli! W czasie omawiania budżetów gospodarczych posłów na sali było raptem 30 posłów, a więc, jak słusznie zauważył jeden z nich, znacznie mniej, niż zapisało się do głosu do dyskusji nad politycznym budżetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Aż 57 amatorów politykowania znalazło się w tym „apolitycznym“ Sejmie, a któżby mógł zabronić przemawiania wszystkich 200 regionalnych reprezentantów? Urzędujący

wice-marszałek musiał aż zwołać „walne zebranie“ kandydatów na mówców, by to wszystko jakoś uzgodnić, uporządkować, by ratować się, jak można, przed potopem „apartyjnej“ retoryki, by osiągnąć zredukowanie tej szalnej listy mówców bodaj o 7 nazwisk... Czyż mamy się po tym wszystkim dziwić, że poseł Hofman, jak sam to szczerze stwierdził, dawniej zwolennik obecnej ordynacji wyborczej, wierzący w jej demokratyczność, teraz rozczarował się i do ordynacji i do Sejmu, który dzięki niej powstał; że zgłosił rezolucję, wzywającą rząd do przedłożenia Sejmowi projektu nowej ordynacji wyborczej?

Drugim, ale najważniejszym, filarem systemu jest rząd — doczekał się on w swoim Sejmie krytyki wcale nie łagodniejszej od wyżej scharakteryzowanego samobieżowania. Poseł ks. Lubelski, mówiąc o „pacyfikacji“ po sierpniowym strajku chłopskim, nie mógł się wstrzymać od zacytowania powiedzenia jednego z posłów ukraińskich, że była ona „stokroć okropniejsza“ od „pacyfikacji“ antyukraińskiej z września 1930 r. A poseł Hofman przerwał wprawdzie w pewnym miejscu cytowanie drastycznych faktów, ilustrujących obchodzenie się organów władzy z ludnością, ale to,

(Dokończenie na str. 8)

WYOWARZENIA I DOGŁOSY

Akcja polityczna w Londynie

Obecna akcja londyńska Egzekutywy Syjonistycznej w Londynie jest właściwie ofatywą polityczną w wielkim stylu. Zadaniem jej jest ruszenie sprawy palestyńskiej z martwego punktu, w którym utkwiła od kilku miesięcy, przyspieszenie jej konstruktywnego rozwiązania oraz nadanie mu takiego charakteru, któryby nam umożliwił podjęcie szeroko zakrojonej pracy nad odbudową własnej, zdolnej do życia i do rozwoju państwowości.

Trudne to są zadania na tle dzisiejszej sytuacji politycznej — liczne też są przeszkody i próby przeciwdziałania z różnych stron. W imię przeprowadzenia tej odpowiedzialnej akcji politycznej udali się z Palestyny do Londynu przywódcy ruchu. Ben-Gurion od kilku tygodni przebywa i działa w stolicy Anglii, a gdy piszemy te słowa, także Prezydent Chaim Weizmann znajduje się już w Londynie.

Sądząc po wieściach, które do nas nadchodzą z Anglii, oraz po pewnych objawach zewnętrznych — akcja polityczna Egzekutywy jest prowadzona z wielkim ożywieniem i może się już poszczycić pewnymi rezultatami. Ben-Gurion wygłosił w parlamencie referat dla członków Izby Gmin na temat zagadnienia palestyńskiego. Odbędzie się też z udziałem Ben-Guriona posiedzenie komitetu parlamentarnego dla spraw palestyńskich, na którym uchwalono wysłać delegację

do premiera Chamberlaina. Delegacja ta składająca się z posłów konserwatywnych, robotniczych i liberalnych odwiedziła już pałac na Downing-Street. Przedstawiła ona premierowi dwa postulaty: 1) należy jak najrychlej rozwiązać kwestię palestyńską, 2) należy zwiększyć imigrację żydowską do Palestyny. Postulaty te są zarazem głównymi aktualnymi żądaniami ruchu syjonistycznego.

Równocześnie na każdym niemal posiedzeniu parlamentu zgłaszane są liczne interpelacje w sprawie palestyńskiej, zabarwione wyraźną sympatią dla syjonizmu. Interpelacje te nie pozostają bez związku z akcją polityczną naszego kierownictwa.

Bezpośrednim wynikiem tych interpelacji było dwukrotne oświadczenie ministra kolonii, Ormsby-Gore'a, że rząd angielski podtrzymuje plan podziału, jako najlepszy w obecnych warunkach środek urzeczywistnienia przyrzeczenia o żydowskiej Siedzibie Narodowej. W niedalekiej przyszłości uda się też do Palestyny t. zw. komisja techniczna, której zadaniem będzie przygotowanie wstępnych warunków urzeczywistnienia koncepcji Komisji Krolewskiej z r. 1937.

Jak widać więc, wbrew pobożnym życzeniom antagonistów zewnętrznych i wewnętrznych planu wskrzeszenia Państwa żydowskiego w części terytorium Palestyny, którzy zdążyli już go wielokrotnie pogrzebać, plan ten jest nadal aktualny. Zadaniem odpowiedzialnej polityki syjonistycznej jest zatem nie

błądzenie po manowcach teoretycznych rozważań o Komisji Mandatowej Ligi Narodów, a mandacie oraz o naszych domniemanych „sprzymierzeńcach” w postaci antysemitów rządów — ale całkowite skoncentrowanie się wokół walki o jak najlepsze warunki, o jak najszerze granice, o jak najtrwalsze podstawy przyszłego Państwa żydowskiego w Palestynie.

To właśnie jest celem wyteżonej syjonistycznej akcji propagandowo-politycznej, kierowanej i prowadzonej w Londynie przez Chaima Weizmanna i Dawida Ben-Guriona.

Nowy etap

Rekonstrukcja rządu austriackiego, która nastąpiła po rozmowie Hitler-Schuschnigg w Berchtesgaden, w kierunku wejścia do gabinetu czterech nacjonal-socjalistów oraz powierzenia ministerstwa spraw wewnętrznych sympatykowi hitleryzmu, oznacza dalszy etap na drodze ekspansji politycznej Trzeciej Rzeszy. Ekspansja, jak wszystko w państwie Hitlera, kroczy swoistymi, wielce oryginalnymi torami. Skoro nie nadszedł jeszcze czas zbrojnych podbojów militarnych, zastępuje się je podbojami polityczno-partijnymi. Tam, gdzie nie mogły jeszcze dotrzeć zielonkawo-szare mundury gleichschaltowanej Reichswehry — docierają już dziś brunatne mundury partii nacjonal-socjalistycznej.

Taki jest istotny sens przemian politycznych w Austrii. Formalnie niezależność polityczna republiki

austriackiej została zachowana, ale jaka jest jej faktyczna wartość, skoro np. nowy minister spraw wewnętrznych rozpoczął swe urzędowanie od wyjazdu do Berlina, gdzie odbył rozmowy z Hitlerem i Goeringiem, z von Ribentropem i Himmlerem? Wczoraj Gdańsk. Dziś Austria. Jutro?

Czy sejm zmieni ordynację?

Współpracownik demokratyczno-legionowego tygodnika „CZARNO NA BIAŁEM” uzyskał wywiad od posła dra Ducha, który ostatnio złożył i wnet wycofał projekt zmiany ordynacji wyborczej. Jest to niezmiernie ciekawy dokument, który nie ilustrujący mentalność pewnych panów z ulicy Wiejskiej, podajemy więc go prawie w całości:

— Panie Posle! W obecnym parlamencie żaden poseł nie jest skrepowany regulaminem ani jakimś węzłem dyscypliny klubów partyjnych w sprawie inicjatywy wnoszenia projektów. Pan Posle — o le wiemy — nie należy do Klubu Parlamentarnego O. Z. N., zatem nie istniała żadna możliwość skrepowania go przy wysunięciu konkretnego wniosku w sprawie nowej ordynacji wyborczej. Co więc wpłynęło na wycofanie projektu przez P. Posła? Jakże przyczyną się na to złożyły i czy istniała w jakiegokolwiek formie presja z góry?

— Oczywiście żadnej presji nie było. Poprostu na podstawie rozmów z szeregiem poważnych posłów z poszczególnych grup regionalnych doszedłem do przekonania, że wniiesienie projektu na obecną sesję nie może być rzeczą aktualną. A więc przede wszystkim Sejm na obecną sesję ma do przeprowadzenia nową ordynację wyborczą do cał samorządowych największych miast Polski. Zobaczy się wtedy jak ogół posłów ustosunkuje się do tych spraw, w ten sposób można ocenić możliwość i przewidzieć reakcję przy projekcie ordynacji do parlamentu.

— Czy jeśli chodzi o wniiesenie projektu, wchodzi pod uwagę jedynie normalna następna sesja parlamentu na jesieni tego roku?

— Tak. Bo przecież żądanie zwolnienia sesji nadzwyczajnej byłoby już ustępstwem przed presją zewnątrz, a tego zrobić nie możemy ze względu na prestiż Sejmu.

— A jakie istotne zmiany w stosunku do obecnej ordynacji wnosł projekt Pański? Np. sprawa „płatnego przysięśnika”, ograniczenia mniejszości narodowych, sposoby wyznaczenia kandydatów przez kolegi?

— Naturalnie, że przede wszystkim — ze względu na kresy, sprawę 5-go przysięśnika musiałem uwzględnić. W ogóle cały projekt opiera się na głosowaniu na osoby na zasadzie tzw. cyfrowego następstwa. Ustalenie kandydatów należy do kolegów powstałych z powszechnych wyborów. W ten sposób utworzone będą

dwa siła, przy czym dla uzyskania mandatów potrzebne będzie pewne minimum głosów.

— Czy Pan Posle uważa, że obecny Sejm jest rzeczywistym reprezentantem narodu całego i społeczeństwa? Czy jest w stanie skutecznie wykonywać kontrolę nad rządem w myśl Konstytucji?

— Parlament obecny niewątpliwie jest istotnym przedstawicielem opinii społeczeństwa. Wprawdzie źle jest, że opozycja do niego nie weszła, ale to jest wyłącznie jej własna wina. Toteż trzeba to jasno powiedzieć: Nieobecni nie mają racji. Dlatego nowa ordynacja nie może mieć jakiegokolwiek znamion ustępstwa przed żądaniami opozycji. Poza tym dyskontowanie przez opozycję małej frekwencji w wyborach z roku 1935 jest najzupełniej niesłuszne. Złożył się na to szereg pierwszorzędnych przyczyn. Między innymi przede wszystkim zła pogoda oraz zły podział na obwody, zmuszający wyborców do dalekiej wędrowki do lokalu wyborczego.

Pan dr Duch, parę lat temu wysoki dygnitarz „sanacyjny”, dziś tylko szary poseł do tego sejmu, jest bardzo rozgoryczony na rząd, na „Ozon” i na większość sejmową. Ma chyba swoje powody, które nas nie obchodzą. Nagle wniesienie przezeń i jeszcze rychlejse wycofanie projektu nowej ordynacji, dalej: oświadczenie, że musiał to uczynić, bo nie widział szans przejścia swojego projektu, a wnet potem wycofanie się z tego oświadczenia w cytowanym wywiadzie — sprawiają wrażenie wielkiej nerwowości i każą się domyślać, że sprzeczne słowa i oświadczenia nie pozostają bez związku z wyżej scharakteryzowanymi nastrojami pana posła.

Wobec samego niedoszedłego projektu posła Ducha zajęliśmy już na tych łamach zdecydowanie krytyczne stanowisko. Projekt ten jest więc niższy, bo opiera się na powtarzaniu dawnych błędów. Nie uznaje proporcjonalności, wprowadza aż dwa siła, uniemożliwia bezpośrednie wyznaczanie kandydatów przez obywateli, jest antymniejszościowy.

Błędy te pan Duch powtarza świadomie i celowo, kierując się małostkowym prestiżem w stosunku do niezależnego społeczeństwa. Nie wie widać, że prawdziwa siła i godność przejawiają się w polityce i w życiu w umiejętności odżegnania się od popełnionych błędów, a nie w kurczowym trzymaniu się ich.

Wesołe natomiast są poglądy pana posła na bojkot wyborów z 1935 r. Żałuje, że opozycji nie ma w tym obecnym sejmie, a udaje, że nie wie o „sicie”, które zamknęło przed nią dostęp do parlamentu. Pociesza się też, że to nie opozycja wpłynęła na bojkot wyborów przez większość wyborców, ale ten... wrześnieowy deszcz. Jak widać, panu posłowi nie brak dobrego humoru!

Inż. A. GLIZER

Pierwsze kroki na morzu

(Korespondencja własna „Steru” z Palestyny)

23-lutego wylądował pierwszy podróżnik w porcie Tel-Awiwu. Dnia tego zarzuci kotwicę na redzie „najmłodszego portu świata” okręt żydowski „Har-Cijon”, aby zainaugurować ruch pasażerski. Uroczysty ten moment zjednoczył w ten sposób trzy najistotniejsze obiekty żydowskiego zainteresowania na morzu: port żydowski, okręty żydowskie, imigrację żydowską. Będzie to moment uroczysty, chociaż żaden z tej trójcy nie jest w tej chwili u szczytu swego rozkwitu. O aktualnych warunkach i rozmiarach imigracji zbytnie raz jeszcze mówić. A port i flota znajdują się dopiero w początkach swego rozwoju. Mają już wprawdzie za sobą miodowy miesiąc zachwytów, przechodzą obecnie okres chorób dziecięcych, kiedy to kłopoty nieraz załamują radość rozwoju. Ale jest wzrost i jest rozwój i dlatego otwarcie nowego portu stanie się momentem uroczystym, symbolem „wytrwałości, która przebiją mury”.

Z pierwszymi krokami żydowskiej Palestyny na morzu jest jak z pierwszymi krokami w ogóle: „siedmiokroć padnie, a powstanie” według obrazowego wyrażenia biblijnego. W historii każdego z początków pionierskich kolonizacji palestyńskiej, czy to w rolnictwie czy w przemyśle czy nawet w tak „żydowskiej” zdawałoby się dziedzinie, jak budowa miast, są gęsto zapisane owe pierwsze karty przewyższające trudności. Kto wie czy sprawy morskie nie wyróżniają się pod tym względem pomyślnie, może dzięki fali zbiorowego entuzjazmu, która je niesie.

Jak przedstawiają się w tej chwili sprawy portu tel-awiewskiego? W wyniku półtorarocznego rozwoju mamy teraz wykończony port według pierwszego szczebla projektu. Tel-Awiw posiada dobrze chronioną przystań dla łodzi, za których pośrednictwem odbywa się ładowanie i wyladowywanie z okrętów. Doszedł do rekordu ruchu dziennego przeszedł 1500 ton. Wraz z pewnego rodzaju stabilizacją pracy portu ujawniają się jednak dalsze potrzeby. W tej chwili można pracować w porcie tel-awiewskim tylko przy spokojnym morzu. W styczniu np. było w porcie zaledwie 7 (i to nie zawsze pełnych) dni roboczych. Latem jest oczywiście lepiej, ale cóż, kiedy wła-

śnie zimą jest główny sezon w związku z eksportem pomarańczy. Aby rozwiązać sprawę radykalnie, należy wybudować port głęboko-wodny, w którym mogłyby znaleźć schronienie nie tylko łodzie, ale i okręty. Nie ulega wątpliwości, że budowa takiego portu odpowiadałaby realnej potrzebie południowej części kraju. Lecz jest to sprawa długa i kosztowna. Jeżeli pominąć bardzo prawdopodobne trudności ze strony rządu, to jest kwestia wielkich kapitałów. Kapitały tego rodzaju można by zastrzeżać tylko na podstawie koncesji.

W tym punkcie panuje sytuacja wręcz paradoksalna. Oto port tel-awiewski pracuje po dziś dzień bez zdefiniowanej podstawy prawnej. Takie, bądź co bądź nie małe, przedsięwzięcie użyteczności publicznej — bez koncesji! Jest to bezpośredni rezultat stanowiska rządu, który pozwał portowi wydobywać stopniowo od władz uprawnienia, aż do obecnego otwarcia komunikacji pasażerskiej włącznie, ale nigdy nie kwapił się z ich udzielaniem. Obecnie nadszedł już jednak moment, kiedy nie można kontynuować dotychczasowej metody. Do tej chwili port zbudował ofiarom żydów palestyńskich, którzy zainwestowali w nim wielką, stosunkowo sumę, nie oglądając się na zyski i zabezpieczenia. Z źródła tego dalej czerpać jednak nie można. Przyszła kolej na kapitał handlowy. Ten zaś musi się liczyć z takimi drobiazgami, jak koncesja, prawo pobierania opłat (obecnie port jest prowadzony przez towarzystwo „prywatne”, ale opłaty ściągają do swej kasy... rząd) itd.

Sprawa dalszych inwestycji w porcie jest paląca. Pomijając już kwestię zwalczania bezrobocia, jest ona paląca sama w sobie. Nie chodzi przy tym koniecznie o wielką inwestycję budowy portu głęboko-wodnego. W obecnym porcie dla łodzi też są konieczne dalsze prace. Na porządku dziennym jest budowa drugiego, symetrycznego do istniejącego, basenu dla łodzi, co umożliwi powiększenie taboru łodzi i powierzchni magazynów i dopiero pozwoli portowi odegrać należyty rolę w eksporcie pomarańczy, nie jak w sezonie obecnym, gdy Tel-Awiw znajduje się na szarym końcu portów eksportujących. Jeszcze może pilniejsze jest przedłużenie murów ochron-

nych istniejącego basenu w sposób taki, aby usunąć braki obecnego wejścia do basenu, zaprojektowanego zresztą w porozumieniu ze światową sławą specjalistą angielskim. Znajduje się ono mianowicie w strefie silnego falowania, w rezultacie czego nie można w Tel-Awiwie nie raz pracować już przy słabiej wzbudzonym morzu, gdy Jaffa jeszcze pracuje, co się wyjątkowo ujemnie odbija na rozwoju portu. Trudności, spowodowane powyższymi brakami zasłaniają nieraz nawet ludziom obraz postępów portu. Kto przejdzie jednak w myśli drogę od pierwszego worka cementu, wyladowanego na „gołym” brzegu tel-awiewskim i spoczywającego od owego czasu w Muzeum, do pierwszego podróżnego, który wylądował w nowym „dworcu morskim” (i chyba nie zostanie złożony w Muzeum), — ten dopiero stworzy sobie właściwe wyobrażenie o tym, jak „dziecko” to urosło

Wydaje się zresztą czasem, że taka droga jest właściwsza. Oto palestyńskie linie okrętowe. Dwie z nich zaczęły od pojedynczych małych okrętów. Jedna zaczęła na wyższą skalę. Tamte dwie istnieją, tej trzeciej już nie ma, jej okręt zaś „Tel-Awiw” zakończył wręcz tragiczną swą karierę (odkupiony został przez Japończyków na szmelc). O ile chodzi o pierwsze dwie, to ich droga nie była zresztą także usłana różami. Towarzystwo „Atid”, które wprowadziło stopniowo 4 okręty towarowe do komunikacji przybrzeżnej (z Egiptem i Syrią) oraz z portami na Dunaju, przeniosło obecnie trzy z nich na wody europejskie, gdzie ceny frachtów bardzo wzrosły, pozostawiając na wodach palestyńskich tylko jeden wobec morderczej walki konkurencyjnej, prowadzonej przez egipskie towarzystwo okrętowe. „Brat” znowu „Har-Cijon”, mającego obecnie zainaugurować tel-awiewski port pasażerski, „Har-Karmel” sponała właśnie świeżo w Konstanz. Należy zresztą zaznaczyć, że natychmiast zastąpił go wydzierżawiony okręt, utrzymujący regularność komunikacji na dobre rozwijającej się linii do Rumunii.

Światła i cienie mieszają się nad naszym morzem. Stawiamy pierwsze kroki na tak „nieżydowskim” terenie, jak morze. Ale w Palestynie nauczyliśmy się szybko rosnąć. Tel-Aviv, 20.2.38.

ZAGRANICA

— W Rumunii zamierza się zwołać Synod duchowieństwa prawosławnego w imię zwolnienia od przysięg politycznych; przysięgi takie głównie odbierano w organizacji „Totul pentra Taru” Codreanu.

— Pomiędzy premierem Chamberlainem a ministrem spr. agr. Edenem zarysowały się różnice zdań w sprawie stosunku do Włoch.

— W Londynie odbyła się międzynarodowa konferencja organizacji politycznych i zawodowych, która proklamowała bojkot gospodarczy Japonii oraz akcję pomocy Chinom.

— Holandia uznała анекdotę Absynil.

— Pomiędzy Estonią i Z. S. R. R. wybuchł konflikt graniczny, po którym nastąpiła wymiana not.

— W Rumunii utworzono Radę Królewską, której zadaniem ma być opracowanie projektu nowej konstytucji; przewiduje się, że projekt ten opiera się na zasadach uniarkowanego korporacjonalizmu.

— W wyniku rozmowy Hitler-Schuschnigg osiągnięto porozumienie pomiędzy Niemcami i Austrią na gruncie układu z 11. lipca 1936 r.

— Po rozmowach w Berchtesgaden nastąpiła rekonstrukcja gabinetu austriackiego. Do rządu weszło 4 nacjonal-socjalistów. Ministrem spraw wewnętrznych mianowano dra von Seyas Inquart, sympatyka hitleryzmu. Szefem policji został mianowany Skubel, przeciwnik hitlerizmu. Wkrótce ogłoszą się amnestie, z której skorzystają przezwani hitlerowcy. Nowy minister spraw

wewn. udał się do Berlina, gdzie został przyjęty przez Hitlera, Goeringa i Himmlera.

— Zaginiony sowiecki charge d'affaires w Bukareszcie, Butlenko, uciekł do Włoch. W artykule w „Giornale d'Italia” Butlenko zadeklarował się jako zdecydowany wróg bolszewizmu. Litwinów utrzymuje, że Butlenko został porwany, a jego oświadczenie sfinansowane.

— Rząd angielski wystosował ostrą notę do rządu sowieckiego, oświadczając, że został zmuszony do zamknięcia swego konsulat w Leningradzie.

— Amerykańska Federacja Robotnicza odrzuciła apel Stalina do udzielenia pomocy Sowietom w wypadku wojny, motywując to tym, że Sowiety nie zasługują na poparcie robotników w krajach demokratycznych.

POLSKA.

— W r. 1937 z Polski emigrowało na stałe 72,000 osób.

— Sejm uchwalł plan inwestycyjny na nowy rok budżetowy.

— W związku z pogłoskami o zamierzonym zniesieniu „getta lawkowego” oraz wizytą ministra Świętosławskiego na Uniwersytecie U. J. w Warszawie miały miejsce ponowne wybruki antyżydowskie.

— Z udziałem 50 mówców odbyła się na plenum Sejmu debata nad budżetem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Referent pos. Wojełchowski z „lewicy O. Z. N.” rozwinął ponownie swój antysemitcki „program minimum”.

Kronika

Okno na świat

P R A W A M A R S Z !

KARTA AUSTRIACKA W GRZE.

O tym, jak trudno jest zawód kronikarza polityki międzynarodowej świadczyć najlepiej bodaj bieg wydarzeń austriackich. Po nagłym wizycie kanclerza Schuschnigga w Berchtesgaden obiegły świat pogłoski o nieustępliwym stanowisku premiera austriackiego wobec żądań dyktatora Niemiec. Pisano o mających rzekomo odbyć się demonstracjach we Wiedniu na cześć nieugiętego kanclerza Schuschnigga, który potrafił oprzeć się naporowi osi Berlin—Rzym. Oceniano wizytę w Berchtesgaden, jako klęskę dyplomacji niemieckiej i tą przewidywaną klęską starano się umotywić ustąpienie ambasadora von Papena.

Aliści kilka dni minęło i świat dowiedział się zdumiony o zmianach w rządzie wiedeńskim. Narodowo-socjalisci uzyskali kilka tek, i to nie najmniej ważnych, minister spraw wewnętrznych nowego rządu udał się natychmiast do wodza swej partii: wnet zjawili się pogłoski, iż Anschluss stał się już faktem dokonanym, lada dzień, lada chwila rząd Schuschnigga będzie obalony, granica między dwoma państwami niemieckimi zniesiona i ramię totalne przedłużone nad Dunaj.

Ani jedno, ani drugie nie okazało się prawdą. Ani kanclerz Schuschnigg nie okazał się Dawidem, walczącym przeciw hitlerowskiemu Goliatowi, ani też nie została przekreślona niezależność polityczna Austrii. Do Anschlussu jeszcze droga daleka.

Odcinek austriacki stał się w tej niezwyklej sytuacji międzynarodowej kartą, którą grał zarówno Londyn, jak i Rzym. W tej rozgrywce b. umiejętnie sytuację wykorzystał Niemcy. Londyn nie jest, nie może być obojętny wobec tego, co się dzieje w Europie Środkowej. Nie może być rzeczą obojętną dla Foreign Office, dla której wciąż istnieje granica nad

austriackiej w tej rozgrywce, jaka toczy się obecnie z Londynem.

Do Anschlussu droga jeszcze daleka.

Słusznie zupełnie nowy naczelny publicysta Kuriera Warszawskiego, określił w taki sposób zachowanie Anglii wobec wypadków austriackich: (20. II. 38).

Czy to my mamy — powiedziano sobie na Downing Street — wysuwać się przed Włochy, i bronić ich od Rzeszy, z którą one się czują?”

A o tym, że Rzym z wielką czujnością spogląda na Wiedeń, w obawie by tam nie przeholowało, świadczą bodaj wysłanie byłego posła włoskiego Salaty do kanclerza Schuschnigga, z którym uzgodnił szereg rzeczy. Oczywiście:

„Czas się zmieniają i gdy po zamordowaniu kanclerza Dollfusa przez spisek nacjonal-socjalistyczny Duce Mussolini posłał dwujęzyczny na Brenner, dzisiaj, po wtargnięciu nacjonal-socjalistów w skład rządu, posłany tylko senator Salata do Wiednia.

Leć i to coś znaczy, a nawet dość dużo“

KUNST KRSOMÓWCZY KANCLERZA.

W tej niezwyklej naprężonej sytuacji politycznej na arenie międzynarodowej, wygłosił kanclerz Hitler swe zapowiedziane od dłuższego czasu przemówienie. Dużą część swego przemówienia poświęcił kanclerz... dziennikarzom. Przypisuje prasie międzynarodowej znaczenie nie lada: ona to, prasa i oni, dziennikarze mogą stać się przyczyną stanu rzeczy, w którym Trzecia Rzesza zmuszona będzie sięgnąć do środków przemocy. Każdy dziennikarz powinien oczywiście być dumny z tego, iż zawód jego został wzniesiony tak wysoko, ponad działania sztabów generalnych i zawodowych dyplomatów. Dziennikarze w dowód wdzięczności mogą przyznać kanclerzowi, iż swe przemówienie wygłosił z niezwykłą swadą ora-

skie w okresie, gdy Londyn usiłuje rozsądzić oś berlińsko-rzymską są zupełnie zrozumiałe. Jak wiadomo, po posunięciu austriackim prasa niemiecka szczególnie bacznie śledziła reakcję londyńską, słusznie uważając, że od niej zależy, czy będzie mogła uczynić dalszy krok naprzód.

Ogólny ton przemówienia świadczył o tym, iż sfery miarodajne Niemiec liczą się mocno z możliwością zbrojnego konfliktu, i jak wielokrotnie usiłował kanclerz podkreślić, nie będą takim konfliktem bynajmniej zastraszone. Umiarkowany ton w stosunku do Czechosłowacji i Austrii tłumaczy się zapewne potrzebą zostawienia wolnej ręki dyplomacji przy pertraktacjach z Londynem. Znamienne były słowa Hitlera w stosunku do sprawy Gdańska:

I mogę chyba powiedzieć, że od chwili gdy Liga Narodów zaniechała wreszcie swych ciągłych usiłowań naczenia w Gdańsku i gdy w osobie nowego komisarza desygnowała człowieka o własnym ciężarze gatunkowym, ten właśnie najbardziej niebezpieczny dla pokoju europejskiego punkt wyzbył się całkowicie zagrażającego pokojowi znaczenia.

Musimy na tym miejscu podkreślić rozbieżność poglądów Führera ze stanowiskiem p. R. P. w... Kurierze Porannym! Jak już cytowaliśmy dwa tygodnie temu, naczelny publicysta ożonowego organu tak oceniał sytuację na terenie Gdańska:

„Wbrew rozpowszechnianemu złudzeniu optycznemu oraz wbrew krótkowzrocznej krytyce niektórych głosów opozycyjnych, to nie deklaracja polsko-niemiecka o nieagresji, ale kryzys Ligi Narodów stał się źródłem znanych trudności na terenie wolnego miasta. Można zarzykować twierdzenie, że gdyby polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji nie było, sytuacja na terenie wolnego miasta przedstawiałaby się prawdopodobnie jeszcze gorzej.

I tu należy zapytać, czy było rzeczą wskazaną władzę postawić i prawa Polski w Gdańsku wyłącznie z osłabioną Ligą Narodów? Czy należało zabawać się w donkiszoterię, i wykraczając poza własne uprawnienia, wojować w Gdańsku na własną rękę w obronie autorytetu Ligi Narodów, której nikt inny efektywnie bronić nie chciał?”

Czyżby p. R. P. z dnia 6. I. 38 oskarżał kanclerza o „rozpowszechnianie złudzenia optycznego“ oraz o krótkowzroczną „krytykę“?

Juliusz Braunthal

Londyńska City a Trzecia Rzesza

Londyńska City nie odbywa publicznych dyskusji i nie proklamuje uroczystych uchwał; narady jej odbywają się w ścianach oddzielnych gabinetów dyrektorów, za wysłanymi drzwiami; zachowanie jej jest niepewne, trudne do określenia.

Niepewne; to jednak, że odniosła się do planu Van-Zeeland z sympatią i gotowa była go przyjąć, nie ulega żadnej wątpliwości. Bankier Van-Zeeland cieszył się zastrzeżeniem jej zaufaniem. Mąż ortodoksyjny kapitalistycznej, międzynarodowej finansjery, pełen współczesnego zrozumienia dla rozmaitych trudności i niebezpieczeństw, na jakie wystawiony jest ubiegający się o zysk kapital w świecie późnego kapitalizmu.

Oczekiwania City nie zawiodły. Z punktu widzenia gospodarczego nie miała poważnych zarzutów przeciwko żadnemu z poszczególnych środków, proponowanych przez Van-Zeeland. Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że obniżenie cel, uchylenie ograniczeń eksportowych i odwołanie zarządzeń dewizowych — owo „precz z nacjonalizmem gospodarczym i autarkią“, energiczne podkreślanie otwartych drzwi i międzynarodowej wolności handlu przypadło do gustu społeczeństwu, które wprawdzie nie pisze się już w zupełności na wolność handlu, ale wciąż jeszcze pielęgnuje się zasadą „Moim polem jest świat“ i chciałoby napotkać możliwie najmniej przeszkód na polu swych misji i emisji.

Zasadniczo nie ma też City nie przeciwno odbudowaniu kapitalistycznej gospodarki światowej i ponownemu wejściu w stosunki z tymi państwami, które pozostały wprawdzie kapitalistyczne, ale jednocześnie stały się faszystowskie. Państwa te — przede wszystkim Niemcy i Włochy — pozostawiły u siebie kapitalizm, ale skrepiły go kaflami bezpieczeństwa swej gospodarki wojennej.

STARSI PANOWIE ZWYCIĘŻYLI...

W chwili, gdy Hitler w Berlinie raz po raz wykiwał ministra spraw zagranicznych Anglii — tenże minister Eden został „wykończony“ przez swoich kolegów, a szczególnie przez swego premiera Chamberlaina w Londynie, i nie długo po ukończonym przemówieniu, złożył na ręce premiera swą dymisję. W chwili, gdy piszemy te słowa nie wiemy jeszcze, jaki będzie przebieg debaty w Izbie Gmin o polityce zagranicznej rządu, ani też nie wiemy, kto będzie jego następcą. Wszystkie znaki na niebie raczej świadczą o tym, że nowym kierownikiem będzie mąż zaufania „zwycięzców“ z germanofilskiego i italoofilskiego skrzydła partii konserwaty stów oraz City, Lord Halifax.

Starsi panowie z City będą usiłowali za wszelką cenę dogadać się z Rzymem, nawet kosztem pewnego rozluźnienia stosunków z Francją. Starsi panowie, związani z francuską grupą Lavala-Flandina będą forsować kurs na prawo, chcąc uzyskać wolną rękę w Europie, celem zwrócenia szczególnej uwagi na sytuację na Dalekim Wschodzie. W rządzie angielskim zwyciężyła komenda: „prawą marsz“.

Nie wiadomo, czy obecne przemówienie Hitlera, jego podkreślenie przyjaźni z Japonią jako też z roku na rok bardziej nieustępliwych żądań kolonii, sprzyjać będą angielskim germanofilom. Natomiast sytuacja we Włoszech sprzyja bez wątpienia pewnym przesunięciom w tym kierunku. Korespondent londyński „Prager Presse“ z 15 lutego słusznie pisze:

„Włochy doszły do wniosku, że jest rzeczą fizycznie niemożliwą podjąć zadanie, jakie sobie postawili równocześnie w Afryce, Hiszpanii oraz na Morzu Śródziemnym. Anglia nie ma zamiaru dłużej angażować swej siły zbrojnej na lądzie europejskim, bowiem jej interesy dyplomatyczne w Azji wykazują, jak wielkim jest tam niebezpieczeństwo japońskie. Podczas gdy Włochy są zmuszone do szybkiego szukania środków wycofania się z Hiszpanii oraz upewnienia się w swej abisyńskiej posiadłości — pragnie Anglia odzyskać możliwość bardziej energicznego działania w Azji oraz zwolnienia swej floty z Morza Śródziemnego.“

Minister Eden stał się nie tylko niewygodny dla starszych panów z City ze względu na swój upór ligowy, domaganie się bezwzględного wycofania tak zwanych ochotników włoskich — stał się w tej chwili — marszu na prawo szkodliwy. Gdyby młody Eden dał się kierować wskazówkom swego starszego pre-

PRZODUJĄCE ŚRODKI DO PIELEGNOWANIA ZĘBÓW

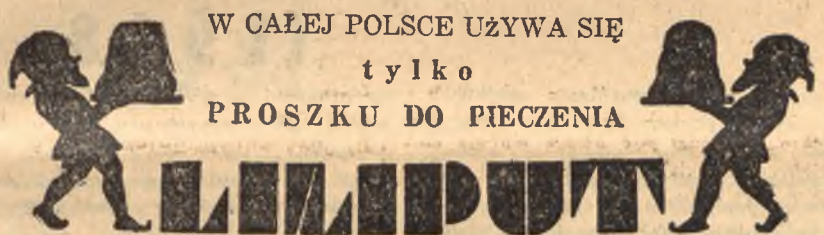


mera! Ale ten dyplomata, któremu każdy z jego przeciwników przyznaje daleko idące perspektywy, okazał się nieugięty. Ten tak popularny nawet w kołach opozycji angielskiej minister ustąpił, by na miejsce przybył znany rozmówca z Hitlerem — „Lord Flegma“ — Halifax.

Jak wiemy, Lord Halifax światu nie nadaje się do tej nowej sytuacji międzynarodowej. Z okazji jego wizyty w Berlinie pisaliśmy: „Lord Halifax posiada jednak niezwykłe dane, by móc odnaleźć wspólny język z Hitlerem. Jak wiadomo, lewa jego ręka jest sparaliżowana. Wytorny konserwatysta potrafi ukryć swą ułomność w kunsztowny sposób: tym niemniej zapewne ta organiczna ułomność jest symbolem polityki konserwatystów angielskich... Teoretyczni przeciwnicy bloków ideowych widzą świat tylko z prawej strony i dla swej przyrodzonej ułomności wolą raczej odwracać się plecami do lewej strony świata, składając zarazem raz po raz hołd dla demokracji i hasła wolności“.

Starszy pan, lord Halifax zwyciężył młodego Edena. Młody Eden ma czas. Poczekaj. Wróci. Szczególnie zapewne wtedy, gdy trzeba będzie naprawiać błędy krótkowzroczności przedstawicieli tego skrzydła angielskich konserwatywnych demokratów, którzy w takt parademarszów i marchia romana rozpoczynają swój marsz prawą...

OUTSIDER.



Renem, czy powstanie w środkowej Europie potężne mocarstwo z hegemonią w Europie Środkowej, z punktem wypadowym na Bałkany, zagrażające bezpośrednio Czechosłowacji — czy też status quo zostanie zachowany. I to nie tylko ze względu na sojusz z Francją, ale również i ze stanowiska interesów wyłącznie brytyjskich.

W jednym z ostatnich swych przemówień, które stało się jego lądem śpiewem, zaznaczył minister Eden: „Nie możemy nie interesować się wydarzeniami, zachodzącymi w Europie i w całym świecie. Posiadamy dokłądną świadomość, że wydarzenia światowe, gdziekolwiek mają miejsce, mogą pewnego dnia swoimi konsekwencjami dotknąć W. Brytonię.“

Mimo wszystkich duserów, ostatecznie wypowiedzianych do siebie przez mężów stanu dwóch sprzymierzonych państw totalnych: Niemcy i Włochy, nie jest wcale dla Mussoliniego obojętna sprawa Anschlussu Austrii. Sytuacja wcale się tak zasadniczo nie zmieniła, by Duce mógł pozwolić sobie na „wielki gest“ i zechciał sąsiadować ze swym odtwórczym wrogiem, Niemcami, które mogą mu w każdej chwili pokazać zbrojną pięść nad Brennerem i przekreślić wszystkie jego plany hegemonii nie tylko w basenie naddunajskim, ale również i na Bałkanach. Miłość totalna — owszem, ale niezawsze miłość prowadzi przeciw do małżeństwa. Tradycyjna polityka Włoch, kontynuowana przez faszystów włoskich — a inaczej być nie może, i to nie tylko ze względów natury gospodarczej — do powstrzymania naporu pangermanizmu, do pokrzyżowania planów wspólnej granicy. Czyż nie pamiętamy jeszcze przemówienia Mussoliniego o Brennerze... w trakcie wojny abisyńskiej.

Wiele zapewne spowodowało, iż Duce poszedł w stosunku do swego berlińskiego pobratymcy na wielkie ustępstwa. Chodziło bez wątpienia o podkreślenie zgodności osi Berlin — Rzym; jak twierdzą niektórzy uzyskał Mussolini za cenę ustępstw przyrzeczenie Niemiec wytrwania w awanturze hiszpańskiej. Szczególnie jednak chodziło o wygranie karty

torską, z aktorską modulacją głosu, posługując się świetnymi okresami krasomówczymi, przechodząc raz po raz z tonu ironii oraz sarkazmu do patosu.

Część statystyczna przemówienia, omawiająca sprawy gospodarcze — po za chyba bezsporną pozycją wyprodukowania przeszło miliona nowych dzieci — nadawała by się do krytyki, i to miejscami druzgocącej. Zestawienie z rokiem względnej stabilizacji — a nie kryzysu 1933, ukazałoby zdobycze narodowo-socjalistycznych Niemiec w zgoła odmiennym świetle. Nie ulega wątpliwości, że ta partia przemówienia była przeznaczona dla Austriaków i Sudeckich Niemców, którym Kanclerz chciał w taki sposób okazać wielkie plusy ewentualnego sprężenia się z Rzeszą; ten ustęp przemówienia był również przeznaczony dla zagranicy, o czym świadczy skandowane zdanie, że jeśli chodzi o dźwignięcie się gospodarcze Niemiec „das Ausland hat damit garnichts zu tun!“

W partii wewnętrzno-politycznej wykpił Kanclerz przesadne wiadomości prasy zagranicznej o zmianach w wojsku niemieckim. Z naszego okienka nie dawaliśmy wiary wieściom o buncie wojsk niemieckich — aczkolwiek podkreślił, iż nie ta czystka posiada znaczenie pierwszorzędne szczególnie w okresie przygotowań bezpośrednich do wojny. Ostro rozprawił się Kanclerz z opozycją katolicką, określając księży mianem „Bibelfaulenzer“, opozycję robotniczą przypisał rzecz jasna grupie intelektualistów żydowskich. Pod tym względem teoretycy narodowego-socjalizmu w przęgiu pięciu lat nie zdobyli się na nic nowego.

Z nieubłaganą logiką przeprowadził Kanclerz krytykę Ligi Narodów i traktatów pokojowych, jako też „stosunku prawa do przemocy“. Krytyka ta przypominała żywo argumentację żydo-intelektualistę, Karola Radka z okresu Rapalla. Ostrze ironii Hitlera było skierowane przede wszystkim przeciwko ministrowi Edenowi, tak nie lubianemu przez sfery totalne „młodzieńcowi z Foreign Office.“ Akcenty antyangielskie

myśli. Większość, znaczna większość nie poddaje się wpływowi wielkich zasad ogólnych, lecz ma na względzie tylko swoje zagrożone interesy klasowe.

Nie należy w końcu zapominać o tych ludziach z City, którzy są również pro-faszyści. Panowie ci są przekonani, że W. Brytania najlepiej uda się ująć faszystowski żądz zdobywczy przez to, że podzieli ekspansywnym państwom inny lup — niekoniecznie kolonie, ale np. Europę środkową, Bałkany, czy Ukrainę.

Jeśli wykluczamy związane wspólną ideą sobie typ „idealne“ przeletne człowieka City, to będzie on myślał trzeźwo i po kupiecku mniej więcej w ten sposób: przywołać pieniądze do Niemiec i Włoch miałyby sens tylko wtedy, gdyby państwa te zużywały je na likwidację swoich zbrojeń i autarkii gospodarczej, a nie na umacnianie się. Papierowe gwarancje są dla nich bardziej bez wartości, niż milionowe banknoty marek w okresie inflacji. Chodzi więc teraz o zlikwidowanie tego, co konieczne jest tej gospodarce potrzebne, a więc przede wszystkim interwencji w Hiszpanii, planu czteroletniego i planów, zagrażających Austrii i Czechosłowacji; dalej o ogólne stopniowe rozbrojenie pod kontrolą międzynarodową. Ile w obecnej sytuacji istnieje widoków na spełnienie się tych warunków — z łatwością może sobie zdać sprawę nawet obserwator bardziej naiwny, niż nasz „ideal“ z City. A najnowszy rozwój wypadków po opublikowaniu planu Van-Zeeland, zmiłany z 4 lutego w Niemczech, nie skłaniają do optymistycznych oczekiwań. Wyraziła to londyńska City dość jednoznacznie — w języku, w którym zwykła formułować postanowienia, w trzeźwym języku kursu: widoki te znacznie się zmniejszyły po nocy płatkowej w Niemczech i pod wrażeniem jej brzemiennej w skutki znaczenia.

A T R U H E B R A J S K I E G O

WROGOWIE I OBROŃCY.

Kto nie zna „Habimy“ z owego czasu, nie zna właściwie najpiękniejszego okresu jej dziejów. Pionierska ta graśka przeżywała wtedy największy rozkwit, tworzącą gorączkę i zarazem dotkliwą ułedolę. Ludzie cierpieli nędzę, spragnieni dosłownie kawałka chleba. „Habima“ otrzymywała jakieś subsydium rządowe; nie wystarczyło ono jednak na najniezbędniejsze potrzeby. I o ten nieduży zasilnik musiano staczać zaciętką walkę z powodu brutalnej kampanii „Jew-sekcji“, która domagała się od władz sowieckich skreślenia „Habimy“ z listy teatrów, popieranych przez państwo. Przeciw Żydom museli bronić egzystencji „Habimy“ — rdzenni nie-Żydzi. Spośród najpromienniejszych obrońców hebrajskiego teatru, do których należała cała rosyjska elita literacko-artystyczna, należy wymienić przede wszystkim komisarza oświaty, Lunaccarskiego, Gorkiję, Stanisławskiego i poetę Włeczysławę Iwanową. Mężnie, otwarcie i nieustraszenie odparali oni wszelkie ataki „Jew-sekcji“ przeciw „Habimie“. Z głęboką wdzięcznością wspomnieć tu należy wytrwałość założyciela „Habimy“, Cemacha, który stawiał bohaterstwo czoło wszystkim trudnościom i przeszkodom. Nigdy nie możemy zapomnieć tej jego wielkiej historycznej wprost zasługi. Z punktu widzenia narodowego walka o istnienie „Habimy“ miała również symboliczne znaczenie. Habima bowiem była w owej chwili jedyną wyspą hebrajskiej placówki w Rosji sowieckiej. Wszystko dookoła legło w gruzach. Tylko jedyna „Habima“ broniła niewzruszenie swej egzystencji, nie ustępując z pola walki, aż zwyciężyła. Wbrew wrogom i prześladowcom do ostatniej chwili, aż opuściła Rosję, gdy nie stało już publiczności hebrajskiej.

Prawda, na przedstawienia „Habimy“ przychodziły setki i tysiące osób, które nie znały i nie rozumiały hebrajskiego. Gorkij

wrzuszony ronił łzy na przedstawieniu „Włecznego Żyda“. Teatr hebrajski pokazał, że tam gdzie chodzi o prawdziwy artystyczny, nie jest konieczna znajomość języka. Artyzm, sztuka, ma swój własny język, zrozumiały dla każdego człowieka na świecie. Istotnie, „Habima“ wywarła głębokie wrażenie nawet na tych, dla których język hebrajski był zgola obcy, co miało miejsce również podczas tournée „Habimy“ po Europie. We Włoszech publiczność, mimo iż nie rozumiała ani jednego słowa hebrajskiego, wyniosła artystów na rękach.

Otóż, gdy przybyłem do Moskwy, „Habima“ była zajęta ostatnim przygotowaniem do odegrania „Dybuka“. Próba już się odbyła. Dwie sceny były wykonane. Trzy misłące niemal codziennie przesładywałem w teatrze, przyglądając się pracy artystów wraz z Wachtangowem, który nierzadko pozostawał do trzeciej, czwartej nad ranem. Gdy zmęczony i seany odchodziłem, oni nie przerywali przygotowań i pracowali do 8 rano.

Bywają w życiu godziny i chwile, które się nie powtarzają. Rozmawiałem ostatnio z pewnym przyjacielem o uczuciach, jakie wzbudzają pierwsze w dzieciństwie przeczytane książki, szczególnie w nas, wychowankach chederu, bet-hamidraszu i jeszybotu. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie — sądzę, że i na moich rówieśnikach wywarły np. „Ahowat-Cyjon“, „Asmat-Szomron“ lub nawet przekład „Tajemnic Paryża“. Twierdząc, że nikt dotąd nie zdołał jeszcze wystawić owych przeżytych duchowych, towarzyszących pierwszym przeczytaniom książkom. Wszystko, co napisano o przeczytaniach naszych, gdyśmy w młodości czytali ukradkiem „świecką“ literaturę zakazaną nam przez dom i wychowawców, to jeno słaby odbłask rzeczywistości. Nowe pokolenie, zda mi się, nigdy nie dozna tych uczuć, nigdy nie odnajdzie w książce źródeł tak

głębokich, tajemniczych wzruszeń, jak to się z nami działo. To samo mogę powiedzieć o pierwszych dniach „Habimy“.

Nie wiem, czy to był sen, obłąd czy upojenie. Może w Moskwie, wśród różnych kolei rewolucji, w atmosferze gwałtownych przemian, duch czasu upiół również „Habimę“, a ona upajała z kolei innych. Ważę, czy członkowie „Habimy“ dożyją jeszcze kiedys takich chwil. To się nie daje wyśłowić, ani opisać. Ja twierdząc, że stał się wówczas wielki cud. Oto, w sześćdziesiąt blisko lat po pierwszym teatrze żydowskim Goldfadena, powstał teatr h e b r a j s k i, a więc w języku, który nie był w życiu, jak to powiadał, martwym, szczególnie w Rosji. Zaledwie kilka lat mieliśmy za sobą na polu próby wstąpienia języka hebrajskiego, zaledwie zaczęło posługiwać się nim w zamkniętych kołach idealistów, językiem ksiąg i liturgii. I oto los zrzucił, że tego śledmiomilowego skoku ku żydowskiemu teatrowi i sztuce dramatycznej w ogóle, rzeczone było dokonać właśnie pionierskiemu zespołowi „Habimy“. Widziałem teatr Morrisa Schwarza w Ameryce; ma on wielu utalentowanych artystów — jednakże zgola inne uczucie wywołał każdy, kto widział grę „Habimy“ w „Dybuka“ pod reżyserią Wachtangowa.

Trzeba uprzytomnić sobie, że teatr ówczesny, w tym rzędzie i teatr Stanisławskiego był, w pełnym tego słowa znaczeniu, realistyczny. Sposób, w jaki „Habima“ wystawiła „Dybuka“ — był zupełnie nowy. Był to własny, oryginalny styl Wachtangowa, ucznia studia Stanisławskiego. Muszę przy tym zaznaczyć, że mnie osobiście odpowiada bardziej teatr realistyczny, wolny od nadmiaru barw i groteskowych grymasów, a jednak gra „Habimy“ zdobyła każdego wstępnym bojem, bez żadnego rozumowego analizowania przyczyn. Ujarzmiła widza bez żadnego wysiłku, siłą wewnętrznej prawdy. Nie wiem, czy przypisać to wielkiemu i mocnemu talentowi kilku artystów, czy też treści dramatu. A może ekstazie. Nie graney, ani świeckiej, ale tej wewnętrznej, która jak lawa wypływa z jakiegoś tajemnego krateru i stapia wszystko, co znajduje się w zasięgu jej działania. Ta to ekstaza, wola, która się mocą stała, porwała za sobą każdego, kto znalazł się w obrębie miłostkowego teatru, całkiem go opanowując. Z przedstawień „Habimy“ ludzie wynosili wraz — w teatr, artystów i dramat. Tak się działo na „Dybuka“, tak na „Włeczny Żyd“ i tak na innych, granych przez „Habimę“ sztukach.

To były młode miesłące naszych ulubionych artystów. Członkowie „Habimy“ czuli się w roli kapłanów nowicjatorów, poświęcających się świętej służbie.

Pamiętam ich hymn, jaki śpiewali, złożony z zwykłych przedmiotów i rymów. Zdaje się, Cemach czy inny wierszokłeta skomponował te wiersze złożone w porządku alfabetycznym. Ale trzeba było słyszeć, jak oni śpiewali te słowa! Rozżarzał poprosz atmosferę dookoła siebie. Przez trzy miesłące przygotowań i prób ploneli, a wraz z nimi i ja — obserwator, jak żywe puchodnie. Tylko dziwo, że nie spopielił się w tym zarze. Ale dzięki wspólnemu gigantycznemu wysiłkowi osiągnęli niemal za jednym zamachem szczyt artysty ówczesnego teatru.

Jedno muszę zaznaczyć. Może najbardziej wzniosła była „Habima“ właśnie w tym początkowym momencie, w pierwszych miesłacach. Nie ulega wątpliwości, że dziś członkowie „Habimy“ są w większym stopniu artystami, niż byli wtedy. Ostatecznie, przyzwyczajenie, nauka, szkoła, wieloletnia praca, wyrobiony smak, swoboda w grze — to wszystko — wałkie szaty artysty; a jednak serce mi mówi, że owe miesłące były najprawdziwszym ich pracą i kryły w sobie zapowiedź tego, co potem nastąpiło.

Legenda żydowska głosi, że człowiek przed narodzeniem, jako płód w łonie matki, pobiera naukę z ust anioła; nad głową jego płonie świeca i ogarnia on wzrokiem świat od końca do końca. I dopiero gdy się rodzi, się wychodzi z łona matki na świat, zjawia się ów anioł i uderza go w usta — i wtedy człowiek zapomina całą naukę, jaką pobierał; wszystkie wysiłki człowieka, podejmowane przez całe życie zmierzają do tego, aby sobie przypomnieć tę zapomnianą naukę, aż wkońcu uprzytomnia ją sobie. Istnieje idea — ja to nazywam przybytkiem ognia, świecznikiem ognistym, świecznikiem ognistym. Jak wiadomo Mojżesz nie znalazł tych trzech postaci ognia, Bóg wskazał mu je i rzekł: Spójrz i czyj jako to. Jest to w moim ujęciu symbol pełnej idei, jaką człowiek pragnie stworzyć, zapala się w jego umyśle na chwilę jak rodzaj ognistego tworu. Ten rozblask trwa chwilę, a potem cały trud artysty polega na tym, żeby uchwycić ognisty rozblask idei i wcielił w utwór.

TEATR — WIZJA.

W owych miesłacach zaświata „Habima“ idea teatru hebrajskiego, jakim on ma być. Teatr hebrajski ma być w zasadzie teatrem proroczym i świętym misterium. Trzeba było widzieć wpływ „Habimy“ na Żydów w Moskwie. Nawet nie-Żyd, skoro znalazł się na przedstawieniu „Habimy“, stawał się innym człowiekiem. Wachtangow rzekł mi np. pewnego dnia: „Pracuję również w innych studiach i z całym szeregiem

ludzi uczniów, ale gdy przychodzę tutaj, wpadam w jakiś trans, staje się innym człowiekiem“. Podobnie wyraził się Gorkij: „Co za czar posiada ten mały domek! Gdy się pragnie odpocynku, wytchnienia dla duszy wśród całego zgiełku życia, trzeba wejść do tego domu, a znajdziemy się odrazu w innym świecie“. Było coś specyficznego w tych młodzieńcach z zespołu „Habimy“. Instynktownie uchwycili oni różnicę między teatrem hebrajskim, a innym, a teatrem w ogóle. Było w nich coś zdumiewającego. Nie pamiętam ani jednej chwili lekkomyślności i śmiechu w ich pracy, cech tak powszechnych wśród braci aktorskiej. W ich sferze, w ich zespole znikł niemal zupełnie ów teatr dla zabawy, dla rozrywki, lekkomyślności, bez troski i rozważań. Nie obce było im również zrozumienie dla komedii hebrajskiej, ale nawet gdy wymawiali to słowo: komedia, miało ono w ich ustach całkiem własny sens i brzmienie. Oni marzyli o komedii, która by harmonizowała z całym ich genrem, o komedii patosu i ekstazy. To właśnie stanowił cechę Żyda. Czy potrafił nie-Żyd pojąć, że może się uczyć np. matematyki czy innego rozumowego przedmiotu, przyrody lub chemii, i popaść przy tym w ekstazę, śpiewać i poruszać całym ciałem, jak podczas modlitwy. Wejście do jeszybotu i spójrzeć na 300 rozmodlonych młodzieńców — przerabiałych jakiegoś czysto logicznego zadania. To przecież orkestra złożona z 300 instrumentów, z których każdy wygrywa własną melodię, a wszystkie razem tworzą jedną zgraną całość. Zauważyłem tam ludzi rozodarganych, jak w transie ekstazy religijnej lub poetyckiego natchnienia. Ludzie uczą się czysto rozumowego przedmiotu i ploną jak ogień. Uczą się i śpiewają. Pieśniami były mi twoje ustawy“ — powiada psalmista. Żydzi umieli przemienić ustawy w pieśń, w modlitwę, poezję. Tego samego dokonała „Habima“. Przeobraziła ona teatr w podniosłą wizję, w wysoki patos, w modlitwę, poezję. Teatr był dla niej niemal proroczą improwizacją.



M. GNESIN

MISJA NARODOWA

Jestem przekonany, że w takim ujęciu teatru hebrajskiego zawierała jest wielka prawda żydowska. Nie wiem, czy każdemu z artystów „Habimy“ udało się wiele powiedzieć o ujęciu w grę. Zapewne nastąpiła — i już nastąpiła — w „Habimie“ odchylenia. Człowiek jest tylko człowiekiem i nie prostą linią znaczą swą drogę w życiu. Ale jeśli w zasadzie „Habima“ pozostała wierna sobie, swej duszy i instynktowi i temu pierwszemu podejęciu, które wymagało od niej wielkich ofiar i cierpień, to już przez to samo wiele osiągnęła. A ja uważam, że jedynie dla sprawy doniosłej wartości etycznej potrafiła ludzkie cierpieć. Dla teatru rozrywkowego nie potrafiłaby „Habima“ wytrwać. Wiem też, że w sferach naszych artystów tli jeszcze i płonie ta iskra idei i że poprzez wszelkie odchylenia dążą oni do prawdziwego hebrajskiego teatru, który moim zdaniem, w swym założeniu powinien i musi być proroczy, wizjonerski. Podobnie jak procesy posilkowali się środkami teatralnymi, tak teatr powinien zmierzać ku celom proroczym i wizjonerskim. Właściwie on ujawniał i obrazował w najbardziej odpowiedzialnych momentach p r a w d ę. Nie znaczy to, że ma on być tendencyjny i moralizatorski. Ma pozostać nadal artystycznym. Ale artysta, sztuka, prawda, mają jedno źródło, a prawda jest zawsze i piękna, i etyczna, i pożyteczna. Sztuka winna zawsze być wyrazem prawdy życiowej, prawdy moralnej, estetycznej, intelektualnej, powinna się też objawiać w chwilach najdonioslejszych w życiu narodu, podobnie jak to czynili prorocy. Winna też być narodowa i służyć sprawie i interesom narodu w tej mierze i w tym kierunku, w jakich służyli prorocy. I ten teatr ogólny, teatr sztuki i artysty, winien być wypełniony narodową treścią hebrajską w najbardziej wzniosłym tych pojęć znaczeniu. W tym kierunku mają zmierzać poszukiwania. Na tym polega zadanie, by uczynić z teatru najwyższe narzędzie w służbie smienienia narodu. Misja sztuki teatralnej jest podobna do posłania moralnego narodu, poczucie prawdy — w czasach sytości i ciszy, jak i w czasach niebezpieczeństwa wewnętrznego, czyniąc, by sumienie narodu nie zostało uśpione i wpaść we wszystko, co piękne, dobre i wzniosłe. Jeśli nasz przodkowie nazwali teatr „świłskim blaznów“, to młeli na myśli pseudo-teatr, który głosił „sztukę dla sztuki“ i zniżył się do poziomu karcemsi i domu rozpusty. Bowiem o tym teatrze, do jakiego dąży „Habima“, rzekł nasz medrey: „Będą jeszcze w przyszłości naczelnicy Judei udzielać ludom światła nauki w ich teatrach“.

Na zakończenie muszę omówić jeszcze

szereg znaczeń teatru „Habimy“. Znam i wysoko cenię postannictwo narodowe, jakie spełniła „Habima“, za granicą zarówno wśród nie-Żydów, jak i wśród reneatów żydowskich. Nie tak nie będzie w stanie uświadomić inne narody o kulturalnych przemianach, jakie się dokonywały w narodzie żydowskim w Palestynie, jak gra „Habimy“. Byłem w Londynie i słyszałem słowa Bernarda Shawa do artystów „Habimy“; po skończonym przedstawieniu wszedł on na scenę i rzekł: „Uciekajcie z Anglii, żebyście nie nauczyli się od naszych artystów ich gry; lepiej będzie, jeśli nasi aktorzy przyjdą do was“.

Szczególne wielkie jednak były narodowe sukcesy przedstawień „Habimy“ wśród Żydów w całej diasporze. Cała nasza mówiona i drukowana propaganda, cała działalność specjalnych emisariuszy palestyńskich jest nieczym w porównaniu z jednym występiem „Habimy“. Sam to nacznie niejednokrotnie stwierdzałem, bawiąc poza Palestyną. Wie-



B. CZEMERŃSKI

dzą o tym również dobrze instytucje i fundusze syjonistyczne w poszczególnych krajach i miastach.

Ale i w samej Palestynie ma „Habima“ do spełnienia szereg doniosłych zadań. Musi ona nas nauczyć, jak mówić po hebrajsku, nauczyć nas s t y l u hebrajskiego — w młmce, wymowie, akcentach, stroju; musi nas nauczyć, jak stać, jak siedzieć i jak witać się z ludźmi — gestu hebrajskiego i mowy hebrajskiej. Zapomnieliśmy zupełnie młmki hebrajskiej, a nie ma mowy bez młmki i młmki bez mowy. Obie te strony języka winne są zlewać w harmonijną jedność.

Hebrajski był również ongi językiem królów, kłzął i możnych, arystokratów, uczonych — kiedy był językiem żywym. Wszystkie żargony, jakimi się posługujemy — powiadam „żargony“ nie w pogardliwym sensie, bowiem należy się wdzięczność wszystkim tym językom, w których duch nasz znajdował gościnę przez setki lat — zajmować będą zawsze niższe piętra umysłowości żydowskiej. Czyż te wszystkie „jidysz“, jakimi posługiwaliśmy się na wygnaniu, były językiem naszych uczonych, kłzął i królów? Ktoś się wyraził, że prawdziwy dramat winien być pisany językiem bogów. Przysięgnę, że bogowie nie mówili żadnym z naszych „jidyszów“. Atoli Bóg i Jego kapłani mówili naszym hebrajskim językiem. Dramat winien również dźwigać nasz potoczny język hebrajski, ilczy, wulgarny i słabowity — na wyższy poziom i tchnąć wien pełnię sił.

Oto zadania „Habimy“. Reszta zależy od społeczeństwa żydowskiego. Jeśli pionierom z „Habimy“ okażemy pomoc, osiągną najwyższy szczyt rozwoju. A winniśmy ich o toczyć atmosferą sympatii, miłosci, a nawet uwielbienia. Słońcem, którego blask i ciepło padają na sztukę, są miłosci i uwielbienie.

Z rozmowy ze Stefanem Jaraczem o „Habimie“

Z prawdziwym zaciekawieniem zacząłem rozmowę z Stefanem Jaraczem na temat „Habimy“. Jaracz należy bowiem do tej wyjątkowej kategorii artystów, którzy łączą wielką sztukę aktorską z nieprzeciętną wiedzą teatrologiczną. Jaracz mówi prosto i dobitnie, z młodzieńczym zapałem.

— Czy widział pan „Habimę“ podczas jej pobytu w Polsce?

— Widziałem i podziwiałem. Byłem na „Dybuka“ który zrobił na mnie mocne wrażenie.

— Co mógłby mi pan powiedzieć o grze aktorów?

— Była to gra pierwszorzędna. Zachwycałem się przede wszystkim Rowina.

— A inscenizacja? — Widział pan zapewne „Dybuka“ także w inscenizacji „Włeczny“.

— Osobiście bliższa mi była inscenizacja Włeczny, jako bardziej realistyczna, ale trzeba przyznać, że inscenizacja „Habimy“ fascynowała i przykuwała oryginalnością i pewną z góry obmyślaną linią przewodnią.

(J. L.)

I M A — 1938)

tyłmi owocami nowych zmagani, tym razem już w zetknięciu z ziemią ojców, byli: komedia Szalom-Alechem, „Skarb“ i Calderona „Korona Dawida“. W „Skarbie“ — jakby ostatnie spojrzenie na diasporę (spójrzcie na wysokość Karmelu), w „Koronie Dawida“ — pierwsze spełnienie dawnego snu: przejęcie do tematyki biblijnej. Groteska L. misterium biblijne. „Kasryłówka“, widziana oczami zakorzeniałych się w ziemi ojczystej chłalców — takim był „Skarb“ w ujęciu Habimy. Przewartościowanie wartości. Kasryłówka, rzeczywistość fantastyczna, jako nowa opowieść, dodana do cyklu opowieści z „Tysiąca i jednej nocy“. I zaraz potem: postacie biblijne, oguisty Amnon, dziewica — grzesznica Tamara, lew Dawid, lwiatka — syny dawidowe. Zafetnili Wschód! Odsłoniły się granitowe pokłady duszy wschodu. „Czyhać na Boga“ Rosjanin Diki stał się wymarzoną reżyserem habimowców. Znikła na całe tygodnie w pustyni, walczył się po górach palestyńskich, uciekał do beduinów i derwiszów, napychał sobie nozdrza rozpalonym płaczem pustynnym, szalał z derwiszami, wehlał w siebie, pożerał Wschód, ten młotkujący cywilizacją europejską. Kiedy wracał do kwacy, do oczekujących go habimowców, był majestatyczny i wyzywający, jak góry Jehudy, gorący, jak południe kolo jeziora Kineret, to znowu zimny, jak noce jerozolimskie. Wracał do kwacy, by zabrać chłalców w strony, w których widział bohaterów z misterium Calderona. I powstało widowisko, jedne w swoim rodzaju. Habima stanęła na nowym szczytach: chłodny, klasycyzm, koltunowy, odmierzony, mocno wciśnięty w ramy, z nieodłącznymi „tyradami“ — jako to a na tym tle: — orgazm, zapierający oddech dynamika (niezapomniana scena uwiedzenia Tamary przez Ammona, lub scena biesiadna u Ammona z tańcem, podpatrzonym u derwiszów), rzucenie aktora na fale własnego temperamentu zajaśniała trójkątowa Habima: Rowina, Meskin i Finkiel. Rowina — melodia z „Żyda włecznego tułacza“ i „Dybuka“, przemieniona się w żywoł, w dziki, niepohamowany żywoł, który dyszy żarem pustynnym, spala siebie i otoczenie. Takim samym żywołem okazał się i Finkiel: rozrywał rany scen, młotał zdaniami, jak językami płomiennymi, fascynował pierwotną siłą i wielkopafińska buńczucznością. Wreszcie Meskin: ucieleśnienie potęgi, ryczący lew pustynny, naga skała, królujca na wydmach płaszczyzn.

Habima osiągnęła drugi punkt szczytowej gry.

drganie w taki lejtmotywu. W „Koronie Dawida“ — kwaca jako tło dla indywidualności (indywidualności, a nie indywidualizmów), kwaca jako gleba, z której wydobijają się żywioły. W „Dybuka“ — związane jedną melodią, rytmem. W „Koronie Dawida“ — wyłamanie się lejtmotywu, narodziny indywidualności.

Potem przyszło to, co piszący te słowa, widział przed kilku laty w Tel-Awiewie. Widział zaś nie wszystkie sztuki z nowego repertuaru (jest ich blisko tuzin), widział kilka, lecz wystarczyło, aby sobie wyrobił wyobrażenie o jednym z ostatnich etapów Habimy.

Nie przybyły nowe elementy gry, chociaż nie ostrygły aspiracje. Potruli się bez mała repertuar: jest i Szekspr i Moller, z żydowskich zaś autorów przybył Sekler i Feuchtwanger („Żyd Sues“) Habima pomysłowała o „chlebnie codziennym“, o „żelaznym repertuarze“, który pielegnuje każdy teatr repertaryjny, pomyślała o klasycznych dramatach światowego, nie zaniedbując przy tym sztuki rodzimej. Spróbowała też oś swych w sztukach „salonowych“. Wszystko to bardzo poprawne, dostojne, a może aż nadto dostojne. I ma się czasem wrażenie, że czasy Wachtangowa, Diki'ego już się stały legendą i że żyje się już tylko cieplem tej legendy. Słyszysz się żale: owe charakterystyczne skargi na brak odpowiedniego repertuaru, jak gdyby w okresie Wachtangowa i Diki'ego repertuar był odpowiedniejszy, bogatszy... Czyżby załamanie się? Raczej utrzymanie się na zdobytych poziomach i przejęcie niedoczekiwania przed sięgnięciem do nowego punktu szczytowego. Jest rywal, który pobudza, młody rywal, opiekun, jak „habimowcy“ z okresu heroicznego. Zwie się „Ohe!“ (hebrajski teatr robotniczy w Tel-Awiewie) a patronuje mu dobry duch Habimy, ongi pierwszy jej reżyser: Halewi. Nie w Habimie, lecz w „Ohe!“ widział autor tych słów nowy punkt szczytowy: udratmizowany epizod biblijny „Jakub i Rachela“. Przedstawienie niezwykle, niedoczekiwane na scenie żydowskiej i bodajże na scenie światowej. Nareszcie przemówiła biblia w całej swej monumentalności i prostocie. Przedstawienie — mit, nabożeństwo.

Diki pełnił Habimę ku biblii poprzez Calderona, czemużby nie miała ona sięgnąć wprost do biblii, jak to uczynił „Ohe!“? Stać ją na to, gdy ma w swym zespole takie wspaniałe sily aktorskie, jak Rowina, Meskin, Czemerński, Finkiel, Friedland, Barac itd. Stać na to, gdy się już 20-letni przeżył okres chłalcysty teatralnego i nie przytym nie ąroniło z ducha kwacy. Czy dalsza droga Habimy wieść będzie, jak poprzednio, per aspera ad astra, powątpiewać może tylko ten, kto nie wierzy w ożywcze sily, spływające na człowieka żydowskiego przy zetknięciu się z ziemią żydowską. Takie zaś jest coraz mniej!

STER MŁODYCH

„KTO JEST UCZCIWYM W MAŁYCH RZECZACH,
JEST NIM TAKŻE W WIELKICH, A KTO NIE-
UCZCIWIE POSTĘPUJE W SPRAWACH MAŁEJ
WAGI, OKAŻE SIĘ TAKIMŻE, GDY BĘDZIE
CHODZIŁO O WIELKĄ RZECZ.”
(S a m u e l S m i l e s)

Róże i Kolce

Anaglify

Wyraz mało popularny i mało zrozumiały dla wszystkich. Dobrze go znają studenci psychologii, fizycy słowem ci wszyscy, których interesują wrażenia wzrokowe, optyka etc.

Anaglify są to specjalne rysunki płaskie, które oglądane przez okulary o dwóch szybkach odmiennego koloru: czerwonego i zielonego, dają obrazy trójwymiarowe. Patrzymy więc na rzeczy małe i płaskie, widzimy rzeczy duże i trójwymiarowe.

Takie właśnie „okulary anaglifowe” mają redakcje niektórych polskich pism narodowych.

Niechno dla przykładu aresztują dwóch żydów fałszerzy monet. Mammy nazajutrz w prasie wielospaltowy nagłówek ŻYDZI FAŁSZUJĄ PIENIĄDZE. Gdy jakiś oprych żydowski (zdarzają się czasami i tacy) pobije oprycha innego wyznania, a już w gazetkach ŻYDZI BIJĄ NA-SZYCH... itd. itd.

Ale, gdy we wtorek 15 lutego r. odbyła się w Legionowie (pod Warszawą) imponująca uroczystość przekazania na rzecz Funduszu Obrony Narodowej balonu obserwacyjnego, spadochronu oraz 200 namiotów ufundowanych przez „Widzewską Manufakturę”, należąca do Uszera Kona z m. Łodzi, panowie z prasy narodowej przez „anaglifowe okulary” nie dojrzeć nie mogli.

Ciemno wszędzie — głucho wszędzie.

„Wieczorowi Warszawskiemu” przez małą szparkę rozbitej szybki udało się coś niecoś zauważyć, bo tak pisze o tej uroczystości:

„We wtorek o godz. 10-tej rano odbyła się w Legionowie uroczystość przekazania wojsku balonu obserwacyjnego, spadochronu oraz 200 namiotów ufundowanych przez „Widzewską Manufakturę” na F. O. N. W uroczystości wzięli udział: gen. Tadeusz Wolkowski, jako przedstawiciel ministerstwa, gen. Trojański oraz przedstawiciele lotnictwa i prasy.”

Oczywiście krótka wzmianka ta złożona jest z petitem i umieszczona gdzieś w samym końcu czwartej strony, by ją, broń Boże, polski czytelnik nie zauważył.

Nie, panowie, tak nie można: ALBO—ALBO. Albo nic nie pisać o żydach, albo pisząc o KOLCACH, należy pisać także o RÓŻACH.

JOTEN

Młodzież, szkoła i — polityka

(Artykuł dyskusyjny)

Rzecz dziwna, jak na dzisiejsze czasy, a jednak prawdziwa: młodzież zarzuca się ostatnio... nadmierne zainteresowanie polityką. Mówi się, że zamiast spraw kultury, sztuki, literatury — dominuje w młodych umysłach (żydowskich) rzekoma „politykomania”, która odsuwa na plan dalszy wszelkie inne zagadnienia życia codziennego i absorbuje całkowicie czas i zajęcia młodzieży. Zwierciadłem tego stanu rzeczy jest istotnie prasa młodych — pełna rozpraw, artykułów, felietonów, rozmyślań i satyr na tematy polityczne.

Wreszcie identyczne zarzuty stawia się szkole żydowskiej. Niektórzy rodzice narzekają rozpaczliwie na to, że już poczynając od pierwszych oddziałów szkoły powszechnej dziecko żyje w ogniu propagandy partyjnej — zależnie od kierunku politycznego zespołu nauczycieli. W szkołach syjonistycznych kładzie się nacisk na wychowanie narodowe, hebraizację i popieranie instytucji palestyńskich. W tym miejscu spotkałem się nawet z zarzutem szowinizmu. W szkołach socjalistycznych (niesyjonistycznych) bundowskich wychowuje się dzieci w duchu socjalistycznym, podobno zbyt intensywnie, jak na wiek wychowanków.

Mówi się więc, że atmosfera polityczna, rzekomo zbyt zgrzeszona, wymaga radykalnego zgrzeszenia, czyli stawiając sprawę jasno i otwarcie: część rodziców żydowskich pragnie, by dzieci ich uczęszczały do takich zakładów naukowych, w którychby wyeliminowano wszelki kontakt z zewnętrznym światem wydażeń na polu społecznym i politycznym, by — jak to się często słyszy troski prawdziwego życia zaczęły się możliwie jak najpóźniej. Rodzice ci pragną oprócz wychowania młodzieży, tak, jak to kiedyś z nieszcześliwymi skutkami bywało, — wyłącznie na pierwiastkach literatury, sztuki, beztrudnej zabawy i swobodnego odpoczynku. Od pism młodzieżowych wymaga się w tym wypadku oczywiście porzucenia charakteru polityczno - społecznego i przybranie innego oblicza.

Czy te zarzuty są słuszne? Czy młodzi naprawdę zbyt polityce się poświęcają i jeśli tak, to czy należy uważać ten fakt za cechę ujemną? Naszym obowiązkiem jest stanowczo się temu przeciwstawić. Rzeczywiście młodzież żydowska zajmu-

je się dość intensywnie zagadnieniami społecznymi i politycznymi ale niemię MUSI ONA TAK POSTĘPOWAĆ. A to z dwóch zasadniczych przyczyn. Przede wszystkim dlatego — i to jest może najważniejsze, — że jest W OGÓLE młodzieżą.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że w okresie dojrzewania, a więc właśnie w wyższych oddziałach szkoły powszechnej i niższych klasach gimnazjum kształtują się zasadnicze cechy charakteru, które wywierają wpływ na całe życie. Młodzi reagują w tym wieku bardzo energicznie na wszelkie objawy życia zewnętrznego i jest rzeczą nie do pomyślenia by negowali oni tak silnie przecież oddziaływujące na ich umysł wypadki polityczne. W późniejszym wieku dokonuje się w psychice młodzieży doniosła zmiana duchowa, którą psycholog niemiecki Spranger nazywa „odkryciem własnej jaźni”. Pomijając w danej chwili sprawę poznania w tym okresie świata zewnętrznego zwróćmy uwagę na analizę psychologiczną otoczenia. Ona niewątpliwie zawierać będzie w sobie często właśnie niedoceniane pierwiastki społeczno - polityczne. Młodzi w tym wieku wybierają myślami naprzód, dąży do USTALENIA SWEGO CREDŌ POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO. Jeżeli więc sama natura ustaliła już taki proces rozwoju psychiki młodzieży, to jakże można powstrzymać, lub przekształcić z powodzeniem jego przebieg. Młodzi zajmują się polityką właśnie dlatego, że w tym okresie ustala raz na zawsze drogi, którymi kroczyć będzie w przyszłości. Tyle, jeśli idzie o szkic omawianej kwestii w odniesieniu do młodych w ogóle. Wiemy jednak dobrze, że młodzież żydowska znajduje się w SYTUACJI WYJĄTKOWEJ. W szeregu krajów, ostatnio szczególnie w Polsce, stała się ona przedmiotem najbardziej brutalnych rozgrywek politycznych. Fakty wskazują, że największą odporność wykazała i najmniej moralnie ucierpiała właśnie ta część młodzieży żydowskiej, która była narodowo i politycznie uświadomiona. A cały, niestety dość liczny, odłam zaasymlowany lub pozbawiony pomimo swego pochodzenia styczności z narodem żydowskim i jego kulturą, doznał ciężkiego ciosu, połączanego z rozczarowaniem i dezorientacją. Jeszcze cięższą porażkę ponieśli wszyscy

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja XVII

SEVENTEENTH LESSON
(sEwntints lesn)
ALADDIN AND THE LAMP *)

(Continued) = ciąg dalszy

There was a poor woman who lived in a hut near to the field. She had one son: his name was Aladdin.

One day he went out of the hut. He went to the field to get flowers. The wizard saw him, and called, „Boy! Boy!” Aladdin said: „Who is that?”

The wizard said, „Come here. I can give you much gold”. Aladdin said, „Who are you? What do you want me to do?” The wizard said, „Go into that hole. The hole goes very far down. Go far into it, and you will find a little lamp. I know that the lamp is in the hole. Take that lamp and give it to me.”

Aladdin said, „I will go.”
(to be continued)

VOCABULARY

Poor (pur) = biedny, niezamożny; lichy, kiepski
woman (uMen) = kobieta, niewiasta

*) Początek „Aladdin and the Lamp” w Nr 6 (52) „Steru Młodych”. Tamże odnośne słowa i objaśnienia wstępne.

młodzi — pozbawieni poglądów politycznych w zupełności (są i tacy). Tak bywało dawniej dużo razy, w dziejach narodu żydowskiego i tak stało się obecnie pomimo wieloletniego doświadczenia.

Ujmując zagadnienie z naszego syjonistycznego punktu widzenia, twierdzimy, że (powtarzamy: abstrahując od poglądów społecznych, nieistotnych w danej chwili) młodzież żydowska tylko wtedy utrzyma się na powierzchni wburzonego życia w diasporze i Palestynie, gdy będzie w pełni swej świadomości narodowej: politycznej i kulturalnej, gdy będzie uczęszczać do szkół, w których właśnie główny nacisk położony będzie na wychowanie w duchu literatury i sztuki ŻYDOWSKIEJ.

Na marginesie: dumni jesteśmy z pisma, w którym ukazują się te słowa, — dlatego, że ono nie zamyka oczu przed rzeczywistością żydowską i jest placówką naszej walki o ludzkie prawa.

Samuel Mozes.

sta. Plural—Irregular.
women (uMen) = kobiety. Anologia do mAn — mEn.
who (hu) = kto?; który, która, które; którzy.
hut (hät) - (het) = chata, chatka.
„To Hut” = mieszkać w chacie.
son (san) = syn; daughter (dOter) = córka.
his (hyz) = jego (na pytanie czy?)
name (nejm) = imię; nazwisko. „To name” — nazwać.
„to the field” = celownik (III przypadek) od rzeczownika „THE FIELD”

W 150 ROCZNICĘ URODZIN

I. B. LEWINZOHNA

już ukazał się Nr 11



CZAS OPISMO ILUSTROWANE

CZASOPISMO

ILUSTROWANE

dla młodzieży

ukazuje się raz na 2 tygodnie.

Pojedynczy egzemplarz 20 gr.

Prenumerata roczna — 350

Oprawione komplety

wszystkich numerów 8 zł

bez opłaty 6 zł.

„OLAMI” c/o „Tarbut” Warszawa I,
Martańska 11/6.

Przekaz rozrachunkowy 470

Już ukazał się Nr 10



DWUTYGODNIK

ILUSTROWANY

dla dzieci

ukazuje się raz na 2 tygodnie.

Pojedynczy egzemplarz 15 gr.

Prenumerata roczna — 250

Oprawiony komplet

wszystkich numerów 7 zł.

nieoprawiony 4.50 zł.

„OLAMI” c/o „Tarbut” Warszawa I,
Martańska 11/6.

Przekaz rozrachunkowy 470

Dawid Pfefferbaum

Katherine zostaje żydówką!

Adrienne Thomas zwiedziła ostatnio Palestynę. Pełna zachwytu opowiadała swe wrażenia na łamach praskiego „Selbstwehr”.

I

Z rozpiętym obliczem, z uśmiechającymi oczami wędrowała Katherine po ulicach miasta. Płaszcz — rozpięty; pasek powiewa swobodnie na wietrze i stara się ją dogonić. Czapkę wciągnęła do teki. Wiatr jej włosy rozwiał i roznośił po ulicach wesoły i dzwiczny uśmiech. Ona zaś wracając ze szkoły spacerowała tanecznym krokiem. Spłeli ze swym chłopcem ramiona i o czymś sobie — tylko sobie opowiadał. Krew się w niej burzyła, szybko, nieśmiało było jej serce.

Wtedy czuła się Katherine szczęśliwą. Była młoda i była z a k o c h a n a.

Na jakimś wieczorku spotkała swego chłopca — i od tego się właśnie zaczęło. Potem... Nie pamiętała? Przecież wszyscy się tak waleśali bez celu po alejach i parkach, wszyscyśmy wystawali godzinami nad brzegiem rzeki, by potem — pod mostem — — jedną cudowną chwilę — — Chciałoby się jeszcze jedną taką chwilę, taki spacer na brzegu cichej, wieczornej rzeki —

II

ROK 1914.

Radoci i smutki Katherine ustąpiły na plan dalszy. Wszystkim wstrząsała w o j n a Katherine i jej chłopiec awaryzowali się

czasem. Niekiedy spory zamieniały się w krótkotrwały gniew, przyczyniały się do kilkudniowego osamotnienia. Ale wojna potrafiła na zawsze oderwać od najukochańszych ramion i poprowadzić na dalekie pola śmierci.

Przed wyjazdem jeszcze jeden długi spacer, jeszcze miła — ta najmilsza rozmowa, i mocy, ostatni pocałunek.

A potem listy. Nieregularnie przychodzące listy. Może jakiś urlop, może wiadomości, ukłony przez rannego przesłane koleżce — i znów nie tylko listy, listy. A list czasem może zaginąć, a czasem można go nie napisać. Albo j u ż nie napisać.

Osamotniona Katherine znów waleśa się bez celu pod mostami miasta. Skądś dochodzą głuche, dalekie odgłosy bomb i szrapneli; — to toczy się bój o Alzację, o jej kraj. Tam gdzieś strzela teraz jej chłopiec i blednie i pada. Tam walczy jej chłopiec, i nawet nie wie co się teraz z nią dzieje, nie wie o kim ona wleżała myśl. On nawet nie ma czasu napisać. A może już nie chce do niej pisać? Może już nie może?

Godzinami wystaje Katherine przed redakcją dzienników i czeka wleśać z frontu. Baczyni! — posmutniałymi dziś — oczyma przebiega listy poległych i rannych. Może, może — Boże chroń! — może odnajdzie gdzieś Jego imię!..

Zaginął. Nie pisze, nie przyjeżdża, nie o nim nie wiadomo. Znajomi opuszczają miasto przenosząc się w głąb kraju; innych biorą na front. I tylko ona jedna zostaje

na tyłach. Samotna, sama.

Życie już straciło cały sens — to życie w pojedynkę. To nigdy nie kończące się oczekiwanie, te nużące, przedługie spacer w samotności. Ach! Żebyż to On przyjechał, żeby Go zobaczyć! A może udać się z odwiedzinami do niego? Być w pobliżu? Pomóc, wesprzeć w potrzebie. Spotka Go dzień może, może z Nim pomówi, ranę mu opatry!

I Katherine opuszcza miasto. Idzie na front.

III

KATHERINE ZOSTAJE ŻOŁNIERZEM!

Świat zapłonął. Krwawa zawierucha przeszła poprzecz pola Europy. Świat oszał i w swym zapamiętaniu zgarnął ponury płon zniszczenia.

Tysiące młodych ludzi zostało wyrwanych ze swego zaciśca rodzinnego. Poszli w świat na kalesko, mór i zgon. Tysiące zdrowych ludzi kaleczyło się, chorowało na ciele i duszy. ginęło bez wleści.

I Katherine gdzieś zginęła. Przeszedł po niej huragan wojenny, młotnił nią po frontach Europy, aż ją gdzieś zostawił zapomnianą, niepoznaną. Ją, jedną z miliona poległych. A żywił dalej się potoczył po szerokich bezkresach świata nlejąc wszędzie wszędzie ogień, ślejąc śmierć, rozlewając szerokie czerwone strumienie krwi. Żywił wieczmie nienasycony, wieczmie żądny nowych ofiar. Czasem przychlechnie na chwilę, przez krótką chwilę ustanie — by ugrząsnąć pobożowską. Ukryje wtedy granaty, posmaruje karabiny, by za chwilę znów oszaleć ze zdwojona, potrojną energią. Oto teraz drzemie w Rumuni, pali się w Chinach i w Hiszpanii, oto gore w Niem-

czech, w całej się żarzy Europie! A jutro? Jutro może znów ogarnie cały świat i znów potrzeba go będzie gasić!

Z zapomnienia znów wyłania się Katherine wędrująca po miastach świata. Chmurne ma dła oblicze, smutek na sercu. Szuka swego chłopca, pragnie miłości — a znajduje tylko nienawiść. Zamiast radości, jasnego spojrzenia dostrzega ukryty mlec, miast szukanego płomienia uosucia miłości widzi szarzewie wielkiego pożaru. Posmutniała chodząc po świecie, a zewsząd dochodzą ją okrzyki:

IV

KATHERINE ŚWIAT SIĘ PALI!

Ale w wędrownie swej napotkała Katherine — Adrienne Thomas — na twórczą oazę w tym świecie zniszczenia, na kraj w którym „dzieje się jeden z największych cudów świata: oto intelektualści — mieszczanie z pochodzenia — zlamani na ciele i duchem, rozmawiający dziesiątkami języków i dziesiątki posiadający mentalności — w jednym pokoleniu zamieniają się w krwistych, prawdziwych chłopów, którzy posługują się jednym językiem i do jednego zmierzają celu.”

Zadziwiona, porwana spaceruje Katherine po górach Judei i po dolinach Izrael i wsluchuje się w poszum palestyńskiego powiewu. Wtedy nagle odczuje dziwny blagostan: „gdy się zwiedza Erec-Israel podchwytuje się intuicyjnie czemu to ten mały kraj stworzył wielkie religie świata. To wiś w powietrzu, To się unosi ponad górami. To promieniuje z niebios. To przenika każdego włóczącego się o wschodzie słońca po lasach Karmelu lub wędrującego po jerozolimskich i nazareńskich pagórkach o zachodzie. Coś tu w atmosferze jest takie-

go co przemienia jaźń człowieka i unosi w jasne i czyste regiony.”

Wleśnie więc Katherine swą czapkę do tecki z manuskryptami i śladzie pod stopami słana by posłuchać piosenek Eil-szewy. Stanie — jak ongiś nad niemiecką rzeką — u brzegów Genezaret i przysłuchiwać się będzie jego harfowemu melodiom. Lekki, palestyński zefirek rozwiechry jej włosy, a na brzegów znów zakwitną rumieńce. Smutek ją ogarnia zmieniając co chwilę z radością. Smutek, że tyle lat straciła na pobożowskich Europy, w czas, gdy mogła współdziałać w tworzeniu nowego izraelskiego społeczeństwa, a jednocześnie radość, że odnalazła wreszcie swą drogę w zawitym labiryncie pogmatwanych nle Europy. „Bardzo jest trudno Komuś — czyjego rodzice już w zupełności byli zasymilowani odnaleźć w tak krótkim czasie drogę do Jeruzalem! I „choć jeszcze nie uznalam zupełnie Palestyny za mój kraj — przecież, gdy ją opuszczę i dokąd kiedykolwiek się zwrócę tęsknić będę za Erec, jak za Ojczyzną.”

Katherine znów jest zakochana. Cieszy się dziś. Znowu burzy się w niej krew, szybko bije onieśmielone serce, a śmiech jej odbija się głośnym echem po dołynie Jordańskiej. Swymi roześnianymi, radosnymi oczyma przygląda się dokonywanemu dziełu, — sama by może chwyciła łopate, sama by żąć się uczyla — bo żyć znów ma swój sens, i treść, najwyższą treść.

Gdy jutro opuści swą odnalezioną Ojczyznę coś ścisnie jej serce. Bez celu, samotna waleśać się będzie w pojedynkę pod mostem i czekać powrotu szczęśliwej przeżytej chwili — powrotu do Erec.

Katherine została żydówką!

H. ROSENKRANZ

Sir Ronald Storrs

Uduchowiony i ujmujący jest Sir Ronald Storrs, były gubernator Jerozolimy, którego ustąpienia domagała się po rozruchach w 1921 Zionist - Commission, prowizoryczna poprzedniczka dzisiejszej Egzekutywy. Coś, co przyciąga i góruje, ma w sobie ten nieustępliwy generał, po którym nazwana została ulica w Jerozolimie, której żydzi nie przyjęli do wiadomości. Przez lata całe żydzi w Jerozolimie nie uznawali nazwy Storrs Avenue, przez lata całe żydzi, mieszkający przy tej ulicy, zachowali na swym papierze listowym dawną nazwę ulicy. Nazwisko bowiem sir Ronalda Storrs stało się dla żydów palestyńskich prototypem wroga dla nas usposobionego urzędnika brytyjskiego.

Obecna wizyta Sir Storrs'a w Warszawie dała sposobność, by raz skonstatować, czy mąż ten wciąż jeszcze jest naszym przeciwnikiem, dlaczego nim jest, jaką metodą się jako przeciwnik posługuje i dlaczego nie udało nam się wpłynąć na jego stanowisko wobec naszego dzieła w Palestynie.

Sir Ronald jest bezwzględnie przeciwnikiem podziału. Uzasadnia to m. inn. tym, że jego zdaniem o wiele więcej żydów mogłoby imigrować do niepodzielonej niż do podzielonej Palestyny. Na pytanie, w jakim status wyobraża sobie tę przyszłą wielką imigrację: czy pod obecnym mandatem i według zasady pojemności gospodarczej — na to pytanie Sir Ronald odpowiada, iż wie-

zameldować prasie, że on, Sir Ronald Storrs, jest przeciwnikiem podziału, bo jest syjonistą.

Sir Storrs słusznie ocenił tego dziennikarza żydowskiego. To, co powiedział, było wodą na młyn tego żydowskiego przeciwnika podziału. Sir potrafi zresztą omijać wyrażenie „status mniejszości“, dopóki się go o to wprost nie zapyta. Jest zaś dość dużo żydów, którzy z powodu niedojrzałości politycznej, z powodu nieznajomości świata, z braku gotowości do niewygodnego myślenia popierać będą walkę Sir Storrs'a przeciwko politycznemu kierownictwu żydowskiemu; którzy nie dojrza niebezpieczeństwa ze strony tego przeciwnika dlatego, że działa w tak szarmancki sposób.

Żydzi prędko gotowi są zapomnieć. Zawsze kładą większy nacisk na słowa, niż na czyny. Zapominają, że jako gubernator Jerozolimy, Sir Ronald Storrs we wszystkich wypadkach, które podlegały jego decyzji, nie tylko był naszym przeciwnikiem, lecz reprezentował w administracji palestyńskiej grono tych wojskowych, którzy wbrew wszelkim wskazówkom z Londynu, od pierwszej chwili próbowali wstrzymać realizowanie mandatu. A żydzi przyjmują jako ekwiwalent za taką działalność wprawdzie bardzo życzliwe i pełne zrozumienia, lecz o wątpliwej szczerości, słowa, jakie Sir Ronald w swej ostatniej książce znalazł dla ciężkiego losu żydów. Żydzi entuzjastycznie się, gdy Sir usiłuje mówić po hebrajsku.

Ronald Storrs wie o tym, o czym nie wie wielu żydów; o tym, że plan podziału, jeśli zostanie przeprowadzony, oznacza ogromne umocnienie pozycji żydowskiej. Wie i o tym, że żydowscy przeciwnicy podziału nie zaakceptują statusu mniejszości. Próbuje więc osłodzić gorzką pigułkę, nazywając siebie syjonistą, rozprawiając o możliwościach wielkiej imigracji do niepodzielonej Palestyny. Nie mówi przy tym nieprawdę, bo nie mówi nic o liczebności tej imigracji. Zastrzega tylko, że nikt nie może wiedzieć, co się stanie w ciągu jednego roku...

Zrobiłem doświadczenie. Po rozmowie przedłożyłem mu jeszcze kilka piśmiennych zapytań. Jedno z nich brzmiało: „Jakie Pan w ogóle ma zdanie o projekcie Angielskiej Federacji Syjonistycznej, uczynienia z Palestyny części Imperium Brytyjskiego? Rozumiem przez to nie siódme dominium, ale część Imperium ze specjalną konstytucją podobnie jak Indie.“ Sir Ronald napisał na marginesie swym cudownym charakterem pisma: „I have none“. A później specjalnie podkreślił tę wiadomość. Ale to nie uchodzi. Można być przeciwnikiem podziału. Wtedy jednak, gdy się jest Sir Ronaldem Storrs, trzeba mieć konkretne wyobrażenie o tym, co się ma stać w Palestynie. Można być za dalszym przeprowadzeniem mandatu lub za położeniem mniejszości. Ale trzeba mieć wyobrażenie o tym, w jakiej formie ma być przeprowadzony ten status mniejszości. Trzeba wiedzieć, czy ma być przeprowadzony w kraju mandatowym, w części Imperium Brytyjskiego, czy w ramach Federacji Arabskiej. Kiedy się jest Ronaldem Storrs, nie można twierdzić, że się nie ma zdania o tym, czy Palestyna ma się stać częścią British Empire, czy nie. Jeśli zaś mąż tej miary przyznaje się, że nie ma poglądu na tak decydującą sprawę, oznacza to, że nie chce tu teraz wypowiedzieć swego zdania i że jest za mniejszością żydowską w ramach federacji arabskiej. Nie chce zaś deklarować swego poglądu, bo usiłuje — ze swego punktu widzenia — całkiem prawnie — przeszkodzić umocnieniu się pozycji żydowskiej (a to oznaczałoby utworzenie państwa żydowskiego) przez podsypanie u żydów ślepego oporu przeciw taktyce ich kierownictwa politycznego.

I żydzi wpadają w pułapkę. W Palestynie mówi się o Sir Ronaldzie Storrs, że jest nieprzyjacielem żydów, a w Warszawie uważają, że stał się przyjacielem. Wyrządza mu się krzywdę, twierdząc, że jest antysemitą. Nie jest i nie stał się nim, jakkolwiek żydzi wiele uczynili, by zrobić z niego antysemitę. Wielką natomiast przysługę oddaje się Sir Ronaldowi, uważając go za przyjaciela. Sir czyzy sobie bowiem, by ulica żydowska usłyszała jego rady, by one pomogły w walce z politycznym kierownictwem żydowskim. Sir wie rów-

nież, że Arabowie nie zwątpią w jego pro-arabskie stanowisko, mimo zapewnień o przyjaźni dla żydów. Arabowie liczą się bowiem nie ze słowami, lecz z czynami i zdają się bez porównania bardziej realistycznie myśleć w sprawach politycznych, niż my.

To, że sir Ronald Storrs jest naszym przeciwnikiem, jest rzeczą ważną nie tylko dlatego, że jest to mąż o wielkim znaczeniu i szerokich wpływach, i nie dlatego, że doskonale reprezentuje pewien określony sposób myślenia polityków angielskich, lecz przede wszystkim dlatego, że to mówi coś o naszej własnej nieudolności w dziedzinie propagandy i taktyki oraz kwalifikuje nasze zdolności do celowego obchodzenia się z partnerami politycznymi. Sir Ronald nie jest ani naszym przyjacielem ani naszym nieprzyjacielem, lecz jest naszym przeciwnikiem politycznym, gdyż uważa, że przymierze z narodem arabskim przedstawia dla Anglii większą wartość niż przymierze, które my ofiarujemy. Sir Ronald nie widzi, żebyśmy byli dość silni, by przedstawiać wartość dla Anglii, i dlatego nie uważa, że dzięki zwiększeniu się naszych sił przybywa pełnowartościowy partner na Bliskim Wschodzie, że to byłoby dającą się uniknąć zniechęcą dla już istniejącego sprzymierzeńca, dla narodu arabskiego. Jest rzeczą pewną, że wiele zaniedbaliśmy, by po krótkim czasie stać się tak silni, jak to przyrzekliśmy w Mandacie. Ale nie jesteśmy silniejsi, niż myśli Sir. Gdyby się Sir przekonał, jak bardzo arosłszy, gdyby tylko wiedział o nas coś lepszego, nie ważyłby się pod płaszczykiem życzliwości żądać od nas czegoś, czego nie zażądałby od żadnego innego narodu: uczciwienia jego ambicji narodowej na filantropię. Sir Ronald jest człowiekiem, który potrafi wtłoczyć ambicję narodową w ramy kalkulacji politycznych. Sir jest człowiekiem o szerokim i dalekim spojrzeniu, ale trudno było go pouczyć i nie potrafiliśmy też tego zrobić. Nie potrafiliśmy ukazać temu jego dalekiemu spojrzeniu rodzaju naszej woli i jakości naszych potencjonalnych sił. Nasza jedność nie wyszła na jaw, nasze zachowanie było sprzeczne i prawie każdy żyd, z którym Sir Ronald spotykał się w swoim życiu i podezwał piastowania swego urzędu, występował przed nim jako indywiduum, a nie jako część organizmu narodowego, który czegoś pragnie. „The Zionists are bluffing“ — oto straszne słowo, które wypowiedział nie Storrs sam, lecz jeden z jego kolegów. Co to znaczyło? — Znaczyło, że Egzekutywa Syjonistyczna występuje jako kierownictwo narodowe, za którym zdaje się nie stać żaden naród. Znaczyło, że przywódca narodu żydowskiego mówi o sile politycznej, która ich nie wyniosła. Znaczyło, że przed gubernatorem Jerozolimy ortodoksyjni żydzi uskarżali się na niereligijnych robotników. Znaczyło, że bogaci żydzi angielscy zaprzeczali istnieniu narodu żydowskiego, że każdy żyd mówił coś innego, każdy posiadał swego konika, każdy ważył się występować w roli reprezentanta, a tym samym podważać autorytet naszego kierownictwa politycznego. Nie chcemy tu dziś wcale mówić o licznych błędach formalnych i faktycznych, o wielu niedociągnięciach, które przeszkodziły temu, by z Sir Ronalda Storrs i warstwy, którą reprezentuje, uczynić naszych sprzymierzeńców politycznych. Otwartemu spojrzeniu męża, jakim jest Sir Ronald Storrs, musi pewnego dnia odpowiedzieć wnikliwe spojrzenie żydów, którzy spostrzegą, że podział otoczenia na przyjaciół i wrogów jest rozróżnieniem, wywodzącym się z mentalności getta. Nie ma przyjaciół dla naszych pięknych oczu i nie ma nieprzyjaciół, którzy nimi są tylko dlatego, że nas nienawidzą. Przez lata całe okrzykiwano na ulicy żydowskiej Sir Ronald Storrs jako „rosze“, zamiast pokazać mu, jaką siłą reprezentujemy. Dziś przyjmuje się go jako przyjaciela, zamiast pokazać mu, że dojrzałymi politycznie. Nie ma zrozumienia dlatego, że istnieją przeciwnicy polityczni, którzy nie są nieprzyjaciółmi i że należy przeciwstawić im realne argumenty polityczne: dowód własnej siły politycznej i przede wszystkim postępowanie, które tej sile da jednolity, godny i — co najważniejsze — zdyscyplinowany politycznie wyraz.

Weizmann — mąż stanu

Chaim Weizmann: Mowy i artykuły 1901—1936. Wybrane i ułożone przez Gustawa Krojankera, Tel-Awiv, 1937.

My, Żydzi, posiadamy mało doświadczenia w dziedzinie polityki. W wielu okolicznościach naszej historii występowali ludzie, których można by wprawdzie uważać za „polityków“ żydowskich, to ci, którzy przez swoją działalność o mocarstw świata starali się użyć doli żydowskiej. Nie byli oni jednak organicznie związani z narodem naszym, lecz zawiądzali swoją godność czynom lub pozycji, zdobytej poza ścisłym życiem narodu. Niedawno na nowo rozstraszana była kwestia sporna, czy Mojżesz był Egipcjaninem czy Żydem. Samo postawienie tego pytania jest charakterystyczne. I w późniejszych epokach naszej historii żydowskie osobistości kierownicze należały pod względem kultury raczej do nieżydowskiego otoczenia niż do Żydów. Było tak aż do najnowszych czasów. Również Teodor Herzl nie wyszedł z żydowskiego środowiska narodowego. Od niego jednak zaczyna się zwrot.

Dzięki syjonizmowi stał się możliwy żydowski mąż stanu, polityk we właściwym znaczeniu tego wyrażenia. Dziś posiadamy takiego męża stanu i polityka w osobie Chaima Weizmanna. On jest reprezentantem narodu żydowskiego przed światem. Potrzeba na to czegoś więcej, niż mądrości i aktywności. Decydujący jest czysto osobowości, bezpośrednia siła przekonywania. Wielu współczesnych nie-Żydów, przeważnie Anglików, może dać świadectwo, jak Weizmann oddziaływał na ludzi. Jego słowa, jego sposób wyrażania się i rozumowania w żadnym razie nie są ani intelektualistyczne, ani demagogiczne; przemawia zwyczajnie, prosto, niepatetycznie i najczęściej cichym głosem, a jednak trzyma w napięciu wszystkich słuchaczy, którzy — czy to niedaleko rozmaślonej Kongres Syjonistycznej, czy wspaniale grono lordów angielskich — w skupieniu siedzą i słuchają. Mowa jego ma w sobie coś elementarnego i pozabawiona jest wszelkiej sztuczności.

Dobra była myśl H i t a c h d u t h O l e j G e r m a n i a (Zjednoczenie Imigrantów z Niemiec) w Tel-Awivie, by wydać zbiór mów i artykułów Weizmanna w języku niemieckim. Jest to okazała książka o 334 stronicach z przedmową Gustawa Krojankera. Książka obejmuje okres od 1901 do 1936, — 35 bogatych w wydarzenia lat. Jeśli ten zbiór uważać za obraz o s o b o w o ś c i Weizmanna, to zawiera on pewną wartość, a mianowicie znajdując się tam obok siebie wypowiedzenia różnego rodzaju: przemówienia dyskusyjne i spontaniczne obok skrupulatnie opracowanych dokumentów politycznych, które nie są pisane stylem Weizmanna, gdyż należy przyjąć, że — jak u każdego odpowiedzialnego polityka — sporządza je każdorazowo sekretarze. Stwierdzenie tego szczegółu nie jest krytyką książki, lecz wskazówką dla czytelnika. Wydawcy chcieli bowiem wydać książkę o wartości politycznej i h i s t o r y c z n e j i dlatego o b a rodzaje tych wypowiedzeń zostały uwzględnione.

Kto przeczytał ten zbiór mów i pism Weizmanna, przekonał się, iż nie jest przypadkiem to, że Weizmann stał się w syjonizmie postacią kierowniczą. Od najmłodszych lat młodości jest w nim coś z inżynierem i temperamentu męża stanu, z marzycielem, co sięga po dalekie cele i nie daje się powstrzymać ich nieosiągalnością. Przed każdą wielką podróżą w świat i w kraj nieosiągalności potrzebą ma silny odżywce, którą czerpie z setkielista się z rzeczywistością narodu. Pierwsze mowy Weizmanna z czasu V Kongresu pełne są ostrej krytyki ówczesnego ruchu syjonistycznego. Weizmann spostrzega powierzchowność działania, przede wszystkim w Rosji, analizuje ten stan w liście do Herzla i podkreśla, że z a z e z y t krytykowania naszych kongresów powinien być zwycięstwem młodzieży syjonistycznej. Ze swymi towarzyszącymi „frakcją“ walczy o pogłębienie syjonizmu, a jego historyczna mowa na VIII kongresie (1907) zgłotowała zwycięstwo temu, co określał wyrażeniem ze swej fachowej dziedziny, chemii, zacierpniętym, jako „syntetyczny syjonizm“. Te pierwsze mowy jednak są tylko prologiem dramatu. Właściwa akcja zaczyna się po Deklaracji Balfoura, w czasie gdy Weizmann — z czteroletnią przerwą — przez okres lat dwudziestu plasuje godność prezydenta Organizacji Syjonistycznej. Jest to droga, bogata w czyny i powodzenie, ale też pełna cierpień. Widzimy postać przywódcy, który nawiązuje do pokonania, walczy bez armii i fлоты, operując się tylko na sile przekonywania swej idei, a jednocześnie stoczyć nieraz ciężką walkę z własnymi towarzyszami. Nieporozumienia i niezrozumienie nawiązuje i na wewnątrz. W przekonaniu, że tylko realne pozycje w Palestynie mogą zapewnić zadośćuczynienie roszczeniom żydowskim i że abstrakcyjne powoływanie się na przyrzeczenia do niczego nie prowadzi, Weizmann wbrew wszelkiemu oporowi formuje praktyczną pracę kolonizacyjną, na



k którą osobliście zbiera środki finansowe we wszystkich częściach świata. Weizmann rozumie jakie trudności piętrzą się przed Żydam w pokonaniu realnych przeszkód w Palestynie, na polu politycznym i gospodarczym. Za dobrze zna jednak mentalność „marzycieli getta“, którzy wierzą w cuda i myślą, że Deklaracją Anglia ofiarowała Żydom kraj, nie zważając na to, że inni żyją w tym kraju. Dochodzi do rozbieżności zdań w Organizacji Syjonistycznej. Rozbieżność ta osiąga punkt kulminacyjny w sierpniu 1930 (Berlińskie posiedzenie A. C.) i następnie na XVII Kongresie Syjonistycznym w lipcu 1931. W mowach z tego okresu, które ze względu na najnowszy rozwój rzeczy są bardzo ważne i aktualne, zajmuję się Weizmann kwestią, czy możliwe jest państwo żydowskie w Palestynie, i formuluje przy tym stosunek Żydów do Arabów palestyńskich. Powiada on (1930): „Istnieje dziś w Palestynie podrastająca młodzież arabska, która w swoim pojęciu jest akurat tak syjonistyczna jak my, i śmiesznie byłoby twierdzić, że ignorujemy tę siłę... Nie możemy mówić rzeczy, któreby Arabowie museli odczuć tak, jak gdyby nam powiedziano, że nie mamy żadnego prawa do Palestyny. My mamy prawo i o n i j e m a j a. O b a narody są równoprawnymi, państwowotwórczymi elementami. Musimy więc razem pracować, a gdy stanemy się większością, nie będziemy nadużywać swej przewagi liczebnej, podobnie jak nie chcemy, by ktoś na nas tej przewagi nadużywał.“ To ujęcie nie uzyskało jednak większości na Kongresie i Weizmann podał się do dymisji. Największym tragizmem w kolejach politycznych tego męża stanu jest to, że na skutek oporu w łonie Organizacji nie miał możliwości w odpowiednim czasie poprowadzić odpowiedniej polityki w stosunku do Arabów, na którą wskazał już na wiosnę roku 1918 w przemówieniu, które wygłosił do Arabów w domu gubernatora Stora w Jerozolimie. Dziś stojemy w obliczu innej sytuacji, ale problem jako całość nie przestał istnieć, należy on bowiem do właściwości Palestyny. Weizmann stał się dziś znowu orędownikiem i prezydentem światowego ruchu syjonistycznego. On to właśnie w swojej wielkiej mowie przed Komisją Królewską dał wspaniały obraz sytuacji żydowskiej na świecie.

Kto zna dzieje syjonizmu, ma jeszcze żywo w pamięci nie jedną z tych mów Weizmanna. Dobrze jest jednak odświeżyć te wspomnienia nie tylko ze względu na ich Autora, lecz i ze względu na sprawę. Młodzież syjonistyczna może dzięki nim śledzić za rozwojem ruchu, wyluskać z nich główne myśli. Nie zaszkodzi to również młodzieży palestyńskiej. Zbyt często karmi się naszą młodzież fantazjami, które uważa za lepszy rodzaj syjonizmu. Książka zawiera jednak nie tylko politykę. Polityka stanowi jedną stronę zagadnienia. Drugą stronę stanowi z a b i e g a n i e o d u s z e narodu żydowskiego i o współpracę pod kierownictwem Weizmanna syjonizm wyrósł daleko poza ramy partyjne. A Weizmann stał się osobistością, która stoi ponad partiami, którą również nie-syjonistę uważają za jednostkę kierowniczą i autorytet. Weizmann zawsze miał szersze perspektywy, zawsze patrzył poza ciasny horyzont, zawsze musiał pozyskać dla celu nowych ludzi i nowe siły. Za zewnętrznym spokojem kryje się serce gorące i namiętne, za prostym słowem patetyczna dusza, za treścią polityczną wlewa nowa iniekcja i wlewa na nowo przeżywana wiara w nieosiągalne. Mowy i pisma Weizmanna ukazują czytelnikowi wspaniały obraz prawdziwej godności dumy żydowskiej.

Książka ta nie jest ostatnia. Nastąpią po niej dalsze tomy, gdyż działalność męża stanu i mowy, Chaima Weizmanna, nie jest jeszcze ukończona. Bowiem właśnie Żydowi z Wschodniej Europy przypada niewdzięczne zadanie zbliżenia do siebie: Żydów i Anglików.

H i t a c h d u t h O l e j G e r m a n i a, który zawiązuje także nie dawno oznaczoną książkę Alfreda B o n n e o N o w y m W s c h o d z i e, dzięki publikacji mów i pism Chaima Weizmanna, wlece się przysłuży literaturze syjonistycznej.

J. R.

